



DECYDUJĄCYM ELEMENTEM NOWEJ SYLWETY MIASTA JEST JUŻ DZIŚ
PAŁAC KULTURY I NAUKI. OKREŚLIŁ ON NIE TYLKO KOMPOZYCJĘ
SRÓDMIEŚCIA, LECZ WPROWADZIŁ NOWĄ SKALĘ PRZESTRZENI
DO KRAJOBRAZU WIELKIEJ WARSZAWY. PATRZ STR. 5 — 7
Fot. „Świat” — W. Stawny

W POŁOWIE września prefekt Kongregacji Seminariów, kardynał Pizzardo, wydał zarządzenie, zakazujące młodym księżom francuskim pracy w fabrykach. Episkopat francuski od pewnego czasu specjalnie kierował młodych księży do pracy, jako prostych robotników, celem uzyskiwania wpływu na proletariatu oraz organizowania chrześcijańskich, rozbijających związków. Kardynał Pizzardo wydając swój zakaz surowo ocenił podobne eksperymenty. „Tęgo rodzaju — pisze on — metody ewangelizacji mijają się z celem, co gorsza, przynoszą negatywne wyniki w duchowym formowaniu się młodych kapłanów”.

Wiadomości nadeszłe z Francji pozwalają dokładnie rozszyfrować to dość niejasne zdanie, skreślone przez watykańskiego szefa wyszkolenia młodego kleru. Otóż okazuje się, że po prostu księża ci, stając się do pracy w fabryce czy w kopalni, stawiali się mniej agitatorami, a więcej agitowanymi. Rzadko udawało im się uzyskać minimalne wpływy na jakieś grupki robotnicze. Często zaś sami solidaryzowali się z robotnikami w ich walce klasowej. Robotnicy nie wstępowali do chrześcijańskich związków zawodowych, ale niejedną młody ksiądz przychylił się do idei komunistycznej.

Tak dzieć się miało według świadectwa kardynała Pizzardo. Pozostaje oczywiście kwestia otwarta, czy zakaz dalszej pracy ramię w ramię z robotnikami sam przez się będzie dostatecznie skuteczny, czy wszyscy młodzi francuscy księża automatycznie powrócą na swoje, przez episkopat im wyznaczone, antyludowe i antynarodowe pozycje. Należy o tym raczej wątpić, pomimo wielkiego nacisku jaki umie i może wywierać na swych szeregowych organizacja kościelna.

GDY kardynał Pizzardo wydał swój okólnik, w Warszawie toczył się proces biskupa Kaczmarskiego i grupki najbliższych jego politycznych współpracowników. Proces toczył się w Polsce, gdzie jeszcze łatwiej niż we Francji dowiedzieć się można, co myśli i czuje klasa robotnicza, czym jest i czym być potrafi w historii narodu. W Polsce każda ulica, każdy dom, tysiące budowli bijących w oczy świadczą o sile, o wielkości klasy robotniczej, o pożyteczności dla ogółu dzieł przez nią dokonywanych. Wszystko, co w Polsce się dzieje w miastach i wsiach, w fabrykach i szkołach, w umysłach i sercach ludzkich agituje za socjalizmem. Czyż księża nie podlegają sile tej agitacji, najwspanialszej i najprawdziwszej jaka być może. Oczywiście, że tak. Wiemy, że wielu księży w Polsce uznaje pożyteczność tego, co budujemy, że nie tylko budowniczym nie przeszkadza, ale stara się im pomagać.

Biskup Kaczmarek nie dziś, ale dawno, przed dziewięćmi laty zrozumiał to, co dopiero obecnie pojął kardynał Pizzardo: komunizm siłą swą idel mogą oderwać uczciwą, patriotyczną część kleru od służby dla kapitalizmu. A biskup Kaczmarek nie na darmo został biskupem. Został nim po to właśnie, by pod pozorami religii, nadużywając religii pilnować interesów kapitalizmu i faszyzmu.

Cóż wart generał bez żołnierzy? A generał Kaczmarek czuł od dawna, że żołnierze — księża mogą odeń odejść, że mogą pójść za Polską, a Polska poszła za robotnikami i chłopami. Poszła za nimi z radością wraz z fabrykami i folwarkami, ongiś należącymi do opiekunów i przyjaciół księdza biskupa.

Zatrzymać przy sobie kler, przysposobić go do działania podziemnego przeciwko Polsce, do służby szpiegowskiej, do sabotażu i dywersji — to oznaczało dla biskupa Kaczmarskiego dalej pracować w raz obranym kierunku. Patrząc na tę postać, zasiadającą na ławie oskarżonych; w chwilach gdy pada słowo „Polska”, jakby grymas przebiegał przez oblicze biskupa. Opędza się przed nim jak przed czymś nieznosnie natrętnym i obrzydłym. Cóż, on należy do tych księży Kościoła, którzy urząd swój pojęli w ten sposób, że wynosi on ich ponad naród, że wznosi ich w kosmopolityczne strefy, gdzie sprawy narodu są już mało ważne. W każdym razie sprawy narodu polskiego.

W tych kręgach obowiązuje wielka polityka, uprawiana przez Watykan, gdzie sprawy utrzymania ustroju kapitalistycznego, sprawy podboju Ukrainy czy też Rosji jednocześnie dla kapitalizmu i dla Watykanu — to sprawy tak ważne, że w zestawieniu z nimi nic nie znaczą drobnotka staje się na przykład problem czy Poznań ma być polski czy też pruski.

GIEKAWIE, że w tych wysokich strefach światowej polityki w końcu w działaniu dochodzi do metod uprawianych przez bardzo małych i bardzo nędznych najemników imperializmu. Gdy biskup Kaczmarek pragnął spotkać się z kimś konspiracyjnie — łącznik jego telefonował do odnośnej osoby i nie podając nazwiska mówił: „Szef z Kielc przyjechał”.

Oto niemal doskonałe tłumaczenia amerykańskiego „bossa”, nazwy nadawanej zarówno przywódcom politycznym w Ameryce jak i naczelnikom gangsterskich band. Pewne funkcje demaskują się same przez sfachowe nazwy, które w toku swego rozwoju otrzymują. Był „szef”, a więc była i banda.

Polska Ludowa nie przyjmuje do wiadomości ponadnarodowych gestów biskupa Kaczmarskiego. Bo te gesty, pozornie ponadnarodowe, były w rezultacie antynarodowe. A żadnych antynarodowych działań Polska nie ścierpi. Jeśli biskup Kaczmarek na to liczył, że jego godność kościelna przed odpowiedzialnością ochroni — to się mylił. Nie ma takiej godności, takiego tytułu, takiego urzędu, który by dawał przywilej bezkarności w zbrodniach przeciwko narodowi. To właśnie powiedział proces biskupa Kaczmarskiego.

Jak również i to, że i dla polityki watykańskiej Polska jest stracona. Raz na zawsze. Tak jak dla amerykańskiej. Stało się to już dość dawno. Gdy polityka polska stała się polityką polskiego ludu. Lud wszędzie ma mocną i przekonującą politykę. Kardynał Pizzardo przynajmniej to publicznie.

JAN SZELAĞ

NA PIERWSZEJ stronie „Dziennika Radomskiego” — hitlerowskiej gadzinówki wydawanej w języku polskim — ukazał się 30 maja 1940 roku sporych rozmiarów komunikat o dwuszpaltowym tytule:

Z pobytu Gen. Gubernatora dr Franka w Radomiu.

P. Generalny Gubernator przyjął na osobistej audiencji biskupów polskich... Jeśli kogoś z mieszkańców „dystryktu radomskiego” zainteresowała ten nagłówek, to mógłby pod nim wyczytać, co następuje:

„...W niedzielę (tzn. 26 maja 1940 roku — przyp. red.) p. Generalny Gubernator... w godzinach popołudniowych przyjął w obecności Gubernatora Radomia na dłuższej audiencji Biskupów diecezji kieleckiej, częstochowskiej i sandomierskiej”.

Trzynastę lat później, we wrześniu 1953 roku, jeden z uczestników tej dłuższej audiencji, ordynariusz diecezji kieleckiej, ks. biskup Czesław Kaczmarek, stanął przed wojskowym sądem rejonowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Warszawie. Czy był jakiś związek pomiędzy tamtą wizytą u hitlerowskiego gubernatora, a obecnym procesem? Był. I to bardzo ścisły. Ks. biskup Kaczmarek odpowiadał przed sądem polskim za długi łańcuch przestępstw, a wśród nich za działalność na rzecz hitlerowskiego okupanta.

Audiencja ks. biskupa u hitlerowskiego gubernatora była logicznym następstwem postawy, jaką ten wysoki dygnitarz kościelny zajął wobec okupanta. On to bowiem, ks. biskup Kaczmarek, wydał w dniu 24 września 1939 roku, a więc w parę zaledwie tygodni po najściu hord hitlerowskich na Polskę i zanim umilkły ostatnie strzały wrześniowej kampanii (broniła się jeszcze Warszawa i Hel!), list pasterski, który do historii tamtych lat przeszedł jako dokument wyjątkowego upodlenia i otwartej zdrady. Pisał w nim ks. biskup dosłownie:

„Chciej tedy i wzywam Was, abyście sumiennie zachowywali wszystkie prze-

pisy i prawa władz tak administracyjnych jak wojskowych... W społeczeństwie musi być porządek i ład”.

W kilka miesięcy później, w maju 1940 r., ks. biskup Kaczmarek raz jeszcze wrócił do tego tematu. Znowu nawoływał:

„Niech każdy co prędzej zabiera się do pracy i pracuje dużo więcej i uczciwiej niż dotąd”.

Takimi to słowy pouczał ks. biskup kielecki społeczeństwo polskie w okresie, gdy w kraju srożył się hitlerowski okupant. Radził być wobec niego posłusznym, radził pracować dlań ze wszystkich sił. A zarazem przestrzegał:

„Nie wolno nam nakłaniać ucha na podszepty podejrzanym ludzi, gdyby usiłowali pociągnąć społeczeństwo nasze, zwłaszcza młodzież, do nierozważnych kroków”.

Nic dziwnego, że gubernator Frank łaskawym okiem spoglądał na ks. biskupa kieleckiego i tych, którzy szli jego śladem. Byli dlań użyteczniejsi od całej armii gestapowców i esesmanów. Oto z wyżyn swego wysokiego urzędu kościelnego głosił uległość wobec najeźdźcy. Zalecenia takie — liczył Frank — winny mieć nie lada autorytet wśród księży i wiernych. Powinny skutecznie pomóc w ujarzmieniu Polaków.

Gubernator Frank przeliczył się. I przeliczył się ks. biskup Kaczmarek. Wierni nie dali posłuchu ks. biskupowi. Nie usłuchali go nawet podwładni księży. Wielu z nich w ogóle nie odczytało z ambony listów pasterskich. Inni opuścili ustępy nawołujące do zdrady. Uczciwi ludzie przejrzyli istotę przewrotnej gry. Biskup nawoływał ich do współpracy z wrogiem. Ale to przecież nie miało nic wspólnego ani z nakazami wiary, ani z dogmatyką religii katolickiej. Biskup nadużył po prostu swego stanowiska duchownego, uczynił zeń parawan dla głoszenia hasła politycznych — wrogich sprawie narodowej, dla szerzenia zdrady narodowej. Spod owczej skóry wyzierało wilcze oblicze.

Słowo parawa często powtarzało się podczas rozprawy sądowej. Albowiem ks. biskup i jego współpracow-

Z pobytu Gen. Gubernatora dr. Franka w Radomiu.

P. Generalny Gubernator przyjął na osobistej audiencji biskupów polskich i otworzył polski Sąd Apelacyjny w Radomiu.

Radom, 27 maja.
W sobotę 26 maja rano przybył Generalny Gubernator dla zajęcia obszarów polskich. Dr. Frank do Radomia, gdzie bawił się w sobotę, przyjechał z Warszawy. W Radomiu Generalny Gubernator przyjął na osobistej audiencji biskupów polskich. W godzinach popołudniowych przyjął w obecności Gubernatora Radomia na dłuższej audiencji Biskupów diecezji kieleckiej, częstochowskiej i sandomierskiej.

Metoda, która wywodzi się z dyktanda, jest wyjątkowo użyteczna w dystryktach radomskich, gdzie przygotowanie do utworzenia Sądu Apelacyjnego w Radomiu zostało ukończono. W Radomiu było przedsięwzięciem przygotowania do utworzenia Sądu Apelacyjnego w Radomiu. W dystryktach radomskich Sąd Apelacyjny nie był. W dystryktach radomskich Sąd Apelacyjny nie był. W dystryktach radomskich Sąd Apelacyjny nie był.

Na pierwszej stronie hitlerowskiej gadzinówki „Dziennik Radomski” ukazał się dnia 30 maja 1940 roku komunikat o audiencji księdza biskupa Kaczmarskiego u gubernatora Franka

PIENIĄDZEM ŚWIĄTYMI I SUTANNY



Dolary w banknotach i złocie, biżuteria i przedmioty wartościowe płynęły z zagranicznych ośrodków dyspozycyjnych na zasilenie wrogiej Polsce roboty.

nicy nabyli swoistej rutyny w posługiwaniu się tym parawanem. I w Polsce niepodległej również próbowali prowadzić działalność polityczną, wrogą swemu narodowi, pod osłoną duchownych szat i kościelnych godności. Ks. biskup Kaczmarek miał zresztą na tym polu spore doświadczenie osobiste. Jako młody jeszcze, początkujący ksiądz, pracując wśród emigrantów polskich we Francji, był równocześnie informatorem i konfidentem „dwójki”. Nikt spośród jego parafian nie domyślał się zapewne, że pod sutanną proboszcza kryje się denuncjant polskich robotników. Wydawało się zapewne ks. Kaczmarekowi, że i tym razem uda mu się za parawanem ukryć wszystkie łajdaństwa i zbrodnie.

I oto po wyzwoleniu kraju kielecki

kuria biskupia staje się ośrodkiem ożywionej działalności, nie mającej nic, ale to nic wspólnego z duchowymi funkcjami jej gospodarza. Łączyły ją bliskie stosunki z placówkami dyplomatycznymi mocarstw imperialistycznych. Głównie z ambasadą USA. Bywali w pałacu biskupim w Kielcach pan ambasador Bliss Lane i jego współpracownicy, pp. Andrews, Szudy, Osifski. Ks. biskup Kaczmarek, bądź jego współpracownicy, odwiedzali te wizyty w Warszawie. Dziś już wiemy dokładnie, po co odbywały się te wszystkie podróże i rozmowy, znany zawartość grubych, opieczonych kopert, które wędrowały z rąk wysłanników ks. Kaczmarka do placówek amerykańskich w Polsce.

Ks. biskup Kaczmarek prowadził działalność skierowaną przeciwko ustrojowi

ludowemu w Polsce. Szeroko mówił na procesie o swej nienawiści do tego ustroju, o swym wrogu, nieprzejednanie wrogim stosunku do wszystkich reform społecznych, które się tu dokonały, do naszych planów gospodarczych, do naszego budownictwa socjalistycznego. Nie ukrywał, iż od pierwszego dnia istnienia Polski Ludowej pragnął uczynić wszystko, by spowodować i przyspieszyć jej upadek. Wtedy, w pierwszym okresie, w latach 1945—47 hodził się, że władza ludowa ma charakter „tymczasowy”, że łatwo ją będzie obalić i to w dość krótkim czasie. W Mikołajczyku i jego sojusznikach, w reakcyjnym bandyckim podziemiu, w agenturach londyńskiego „rządu” widział skuteczną narzędną realizację tych zamierzeń. Podzielał w tym względzie opinię pana ambasadora Bliss Lane i jego brytyjskiego kolegi, Cavendish Bentincka. I — oczywiście — poglądy Watykanu. Ośrodek ks. Kaczmarka postawił więc na Mikołajczyka. Wszystkimi rozporządzalnymi środkami wspierał jego i jego podziemnych sprzymierzeńców. Swym podwładnym w kurii nakazał, by czynili to samo. Wiernym zaś starał się wmówić, że tego wymaga interes kościoła i wiary. Znowu ten sam

parawan... Ks. biskup Kaczmarek nie był zjawiskiem odosobnionym. Episkopat polski i reakcyjny odłam podległego mu kleru szedł po tej samej drodze i stosował tę samą metodę oszukiwania wiernych, nadużywania kościoła i sukni duchownej. Styszeliśmy na procesie, jak to ks. kardynał Hlond przywiózł z Watykanu i przekazał episkopatowi polskiemu instrukcje polityczne, zwrócone przeciwko władzy ludowej i zmierzające do jej obalenia. Episkopat polski chętnie dał posłuch tym wskazaniom i starał się je wcielić w czyn. Taktyka parawanu znalazła szerokie zastosowanie.

Kielecka wyborcza Mikołajczyka pokrzyżowała jednak plany reakcji. Na pobojowisku zwyciężonych marzeń rodzi się więc nowa koncepcja walki z władzą ludową. Ambasador Bliss Lane rozstrzyga wizję trzeciej wojny światowej, która — jak zapewnia swych protegowanych — prędzej czy później przyjść musi. Tak samo brzmią wskazania Watykanu.

Ks. biskup Kaczmarek znalazł się w pierwszym szeregu entuzjastów „trzeciej światówki”. Nie dość jest chcieć wojny, trzeba dla niej pracować — brzmiało teraz hasło podyktowane przez amerykańskich i watykańskich zleceniodawców. Ks. Kaczmarek starał się ze wszystkich sił sprostać temu poleceniu. Ośrodek kielecki zabrał się znowu gorączkowo do pracy. Szła stąd wroga propaganda przeciwko współzawodnictwu pracy, przeciwko spółdziel-

czości produkcyjnej, płynęła plotka, szerzyła się dywersja polityczna i gospodarcza. Ale nie na tym kończyła się praca dla wojny. Mocodawcy żądali informacji wywiadowczych. Ośrodek w miarę swych sił i możliwości starał się ich dostarczyć. Podwładni ks. biskupa otrzymali polecenie gromadzenia wszystkich informacji natury politycznej, gospodarczej i wojskowej. Zbierano je i przekazywano wywiadowi amerykańskiemu. Częściowo szły w sprawozdaniach do Watykanu. Ale to wszystko jedno. Na osi Waszyngton — Watykan wymiana usług szpiegowskich odbywała się nieprzerwanie.

Oskarżenia nie raz i nie dwa powoływali się na Watykan, jako na źródło inspiracji politycznej. I nie bez racji. To, co robili, leżało i leży niewątpliwie na linii polityki watykańskiej. Ks. biskup Kaczmarek był w zupełnej zgodzie z politycznymi zamysłami Watykanu, gdy pracował dla wojny, gdy działał na rzecz amerykańskiego imperializmu. Ks. biskup Kaczmarek — jak i cały reakcyjny odłam kleru i episkopatu — jest w najzupełniejszej zgodzie z polityką Watykanu, gdy kwestionuje zachodnie granice Polski. I dlatego właśnie watykańska racja stanu jest tak jaskrawo sprzeczna z polską racją stanu.

Czy oskarżenia zdawali sobie sprawę z istoty watykańskiej racji stanu? Niewątpliwie tak. Mówili o tym otwarcie. Przyznawali, że sojusz z neohitleryzmem i stawka na wojnę oznacza zgodę na „korekturę” naszych granic zachodnich na korzyść imperialistycznych Niemiec i przyznawali, że gotowi się byli pogodzić z tą „korekturą”, byle przyspieszyć wojnę.

Oto na jakie bezdroża zawędrował ks. biskup Kaczmarek i jego współpracownicy, gdy zaparkowali się swego narodu poszli za wskazaniem watykańskiej polityki. „A przecież — mówił prokurator — mieli pełną możność uzgadniania swoich religijnych funkcji z Rzymem. Jednego tylko od nich żądano: odróżnienia ziarna wskazówek religijnych od zadrutych plew watykańskiej polityki”. Gdyby oskarżenia chcieli zrozumieć tę prostą prawdę, głoszoną przecież od zarania Polski Ludowej przez rząd i podzielną przez ogół obywateli — nie posługiwaliby się kościołem jako parawanem, nie weszliby na drogę zbrodni i nie znaleźliby się na ławie oskarżonych.

Naukę tego procesu zawarł w końcowych słowach swego przemówienia prokurator:

„Szczujemy wierzenia, zwyczaję i uczucia każdego uczciwego człowieka i stać będziemy twardo na gruncie swobody religijnej, lecz wara komukolwiek pod osłoną kościoła judzić przeciw narodowi i szkodzić Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

S. W.

KADRY WATYKANU

W SZOSTYM dniu procesu biskupa Kaczmarka zeznawał świadek Józef Szehaus, adwokat Roty Rzymskiej, związany z działalnością II oddziału sztabu generalnego do roku 1939. Szehaus cytował wiele nazwisk działaczy kościelnych, współpracowników II oddziału i dyplomatów rządu sanacyjnego, współpracujących z aparatem szpiegowskim Watykanu. Między innymi wymienili nazwisko pierwszego konsula Polski sanacyjnej w Rzymie, b. dyplomaty carskiego, Bronisława Jowiszowskiego. Postać Jowiszowskiego jest tak charakterystyczna dla ludzi, z których obóz sanacyjny tworzył swój aparat państwowy, że warto się z nią bliżej zapoznać.

Do roku 1917 Bronisław Jowiszowski był urzędnikiem dyplomatycznym Rosji carskiej we Włoszech, ale funkcje dyplomatyczne stanowiły tylko pokrywkę jego właściwej działalności. Jowiszowski był bowiem wysokim funkcjonariuszem carskiej „ochrony” (trietlewo oddzielenia sobstwennoju jowo wielicestwa kancelarii), wyspecjalizowanym w śledzeniu przebiegających we Włoszech rewolucjonistów rosyjskich i polskich. Z tytułu pełnionych funkcji Jowiszowski współpracował ściśle z policją papieską i papieskim aparatem wywiadu. W okresie kiereńszczyzny zajmował stanowisko referenta do spraw polskich przy ambasadzie rosyjskiej w Rzymie i aktywnie zwalczał dążenia niepodległościowe Polaków. Po zwycięstwie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej już jako „biały emigrant” przypominał sobie, że jest Polakiem i zgłosił się do dyspozycji ówczesnego polskiego ministerstwa spraw zagranicznych, które przyjęło go z otwartymi ramionami, mianując konsulem R. P. w Rzymie. Na tym stanowisku Jowiszowski kontynuował poprzednią działalność, będąc równocześnie jednym z doradców Watykanu w sprawach rosyjskich i polskich, uczestnicząc w komisji Pro Russia.

Wokół osoby Jowiszowskiego skupia się czarno-secinna emigracja rosyjska, montująca aparat szpiegowski (na użytek Watykanu) przeciwko młodej Republice Rad.

Całkowita kompromitacja Jowiszowskiego następuje wówczas, gdy na tle podziału łupów pokłócił się on ze swym współpracownikiem, ks. Borodziezem, mającym również bliskie kontakty z carską „ochroną”. W grę wchodziła kwota 200 milionów marek polskich (skradzionych do spółki przez p. konsula Jowiszowskiego i ks. Borodzieza, a przeznaczonych na budowę kościoła polskiego w Nicei). Na interwencję Jowiszowskiego w Watykanie, ks. Borodziej zostaje wydany z Włoch i otrzymuje polecenie „zamknąć usta” o całej sprawie. Ks. Borodziej osiedla się w Hiszpanii, gdzie publikuje broszurę, demaskującą Jowiszowskiego jako agenta „ochrony” carskiej i ujawniającą jego złodziejskie afery.

Gdy kompromitacja staje się zbyt głośna, w sprawę wkracza II oddział sztabu generalnego arian przedwzrośniowej, który, aby zatuszować aferę, inspirował wystąpienie swego pracownika, b. oficera carskiego, który również po Rewolucji Październikowej „przypominał sobie”, że jest Polakiem — mjr Tadeusz Winczi.

Winczi rozpoczyna kampanię przeciwko Jowiszowskiemu, oskarżając go wyłącznie o działalność antypolską w szeregach „ochrony”. W r. 1922 sprawa dociera do Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie, przed którym staje mjr Winczi, oskarżony przez Jowiszowskiego o zniesławienie i oszczerstwo.

Sąd Wojskowy, inspirowany zarówno przez II oddział sztabu generalnego, jak i przez czynniki kościelne, wydaje „sądomowy wyrok”, stwierdzając, że: „aczkolwiek zarzuty są prawdziwe, konsul Jowiszowski nie był szpiegiem w znaczeniu ordynarnej roboty, ale był tylko organizatorem „ochrony”.

I wreszcie finał: Jowiszowski zwolniony tymczasem ze służby konsularnej, zostaje mianowany konsulem honorowym Polski w Rzymie, no, a pan mjr Winczi wraca do dwójkarskiej roboty.

Takie kadry działały wspólnie dla Watykanu i dla rządu sanacyjnego.

B. B.

„Niniejszym kwituje odbiór 50.000 franków francuskich, które otrzymałem od Sicherheitspolizei w Paryżu za pośrednictwem p. Fischera dla Jego Eminencji kardynała Hlonda. — Bar-le-Duc, 18 czerwca 1944. — Dr Filipiak, Sekretarz Eminencji” — brzmiało oryginalne pokwitowanie na sumy, które kardynał Hlond otrzymał z rąk hitlerowców.

Hiermit blockierte die den Empfang von 50.000 in der fünfzigtausend) Frau... die ich heute in der... polizei in Paris... Herr Fischer für seine Eminenz den Herrn Kardinal Hlond empfangen habe.

Bar-le-Duc, am 18 Juni 1944

Dr. Filipiak

TRUCIZNA 20 LAT

EDMUND OŚMAŃCZYK

PO BLISKO dwu latach znów byłem w Niemczech i miałem możliwość zapoznania się bezpośrednio z głównymi obecnie problemami Niemiec. Jeździłem ponownie po Niemieckiej Republice Demokratycznej, a następnie spędziłem blisko trzy tygodnie w Berlinie demokratycznym i zachodnim. Wizy do Niemiec zachodnich nie doczekałem się. Wniosek o wizę dla dwu polskich dziennikarzy na okres wyborczy w bawarskiej republice utknął w „Americahouse” w Mehlem pod Bonn, w siedzibie Wysokiego Komisarza USA. Nie życzyli sobie najwyraźniej propagandyści „wolnych wyborów”, aby zorganizowane przez nich „wolne wybory” w bawarskiej republice oglądali przedstawiciele demokratycznej prasy polskiej. Sprawa ta jest o tyle znamienna, że w tym samym czasie, w ciągu ostatnich kilku miesięcy szereg korespondentów zachodniej prasy burżuazyjnej, w tym również amerykańskiej, otrzymał prawo wjazdu do Polski. Według ich własnych oświadczeń, ogłaszanych po powrocie na zachód, mieli oni możliwość całkowicie swobodnego poruszania się w naszym kraju.

Tymczasem dostęp do Niemiec zachodnich od kilku już lat dla korespondentów prasy demokratycznej był coraz bardziej utrudniony, a od dwu blisko lat stał się praktycznie całkowicie niemożliwy. W tej drobnej na pozór sprawie odbija się zasadnicza linia polityki amerykańskiej w Niemczech — jak najściślej odcięcia Niemiec zachodnich od wolnego świata demokracji i postępu. Ta linia generalna, realizowana z coraz większą skrupulatnością od r. 1948, decyduje o wszystkich sprawach dotyczących Niemiec, nawet tak drobnych, jak kwestia wiz dla dwu polskich dziennikarzy na okres przedwyborczy w bawarskiej republice.

Z rozmów z Niemcami i cudzoziemcami w Berlinie zachodnim, którzy byli niedawno w bawarskim państwie, oraz z rozmów z Niemcami, którzy żyją w Niemczech zachodnich, a przybyli do Berlina z tych czy innych powodów, wreszcie z dokładnego studiowania prasy i publikacji zachodniemieckich dostępnych mi w całości w zachodnim Berlinie, mogłem stworzyć sobie pewien dość dokładny obraz skutków owej generalnej linii izolowania Niemiec zachodnich od możliwości jakiegokolwiek kontaktu z wolnym światem demokracji i postępu.

Zaczęło się to przecinanie naturalnej łączności ziem i ludzi jednego państwa i jednego narodu z całą brutalnością w r. 1948, kiedy to podział administracyjny Niemiec stał się podstawą do podziału gospodarczego i kulturalnego. Wprowadzono odrębną walutę w Niemczech zachodnich i zakazano rozpowszechniania w Niemczech zachodnich pism i książek drukowanych na wschód od Łaby. Kara więzienia groziła każdemu Niemcowi między Łabą a Renem, jeśli posiadał lub rozpowszechniał bądź to jakieś pismo drukowane w Berlinie demokratycznym, czy Lipsku, czy Rostoku, bądź też np. masowe wydanie wierszy Heinego, wydrukowane w Poczdamie.

W tym pozornym szaleństwie jest metoda. 48 milionów Niemców jednym dekretem odciętych zostało od źródła wszelkiej demokracji i postępu — od upowszechnienia literatury postępowej, krótko mówiąc — od prawdy. Nie zapominajmy, że to odcięcie następowało po zaledwie 3 latach pierwszego trudnego wolnego oddechu po 13-letniej hitlerowskiej nocy, że w milionach domów nie posiadano jeszcze żadnej postępowej książki, że właśnie w tym czasie dopiero zaczynały się ukazywać między Odrą a Łabą pierwsze masowe wydania pism Heinego, Goethego, Heinricha Manna, Anny Seghers, Friedricha Wolfa, Bertolda Brechta. Od tego przebijającego się dopiero źródła odrodzenia narodu niemieckiego z całą świadomością odcięto 48 milionów Niemców. Dano im w zamian w masowych nakładach amerykańskie bestsellery, całą zachodnią literaturę kryminalną, gangsterską, pornograficzną, a z niemieckich autorów w masowych wydaniach drukowano jedynie sensacyjne pamiętniki hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. W bibliotekach publicznych, wypożyczalniach książek pozostawiono całą hitlerowską literaturę „piękną”, powieści i opowiadania wyrosłe z faszystowskiego poglądu na świat.

Z kolei przyszedł czas na podział polityczny Niemiec. W Bonn powstał rząd starego separatysty Adenauera, który otrzymał zadanie przeprowadzenia totalnego odcięcia 48 milionów Niemców od 20 milionów rodaków żyjących między Odrą a Łabą. W ciągu czterech lat Adenauer z pomocą amerykańskich i zachodniemieckich finansistów oraz speców od wywiadu, pro-

wokacji, dywersji, terroru, potrafił przeciąć prawie wszystkie więzy polityczne, gospodarcze i kulturalne, łączące dwie części jednego kraju i jednego narodu. Jakiegokolwiek spotkania między Niemcami z dwóch części Niemiec uznane zostały za zdradę stanu, obojętne czy miało to być spotkanie uczonych archeologów, czy mecz pingpongowy między Lipskiem a Norymbergą. Stworzony na wzór „Anty-amerykańskiego Komitetu” MacCarthya boński „Urząd ochrony konstytucji” otrzymał prawo śledzenia i przesłuchiwania każdego obywatela. Ten zimny terror stał się bronią przeciwko setkom tysięcy aktywnych bojowników o pokój, przeciwników remilitaryzacji, zwolenników handlu ze wschodem, zwolenników zwolnienia konferencji mocarstw w sprawie zjednoczenia Niemiec.

Rzecz prosta, że ten zimny terror napotkałby na masowy opór, gdyby mechanizm jego mógł być ujawniany

ogłoszono wyniki wyborów. Główne tytuły pierwszej strony: „Zmarły pisze z Afryki”, „6 osób poniosło śmierć!”, „Nareszcie walki byków i w Niemczech”. „Zamaskowani bandyci!”, „List Maurice’a wisi nad łóżkiem Margot!” itd. Wśród tego sensacyjnego bełkotu z boku 50-wierszowa notatka o wyniku wyborów, zakończona takim beztroskim (choć dobrze przemyślanym) komentarzem:

„Jedni wygrali, drudzy przegrali. Jeśli należysz do tych co przegrali, zapomnij o klęsce. Wybory minęły. Znów jesteśmy Niemcami, którzy siedzą w tej samej łodzi i płyną razem po morzu świata. Wiele jeszcze burz wisi nad światem!”

Zalew tego rodzaju prasy, wzorowanej ściśle na sensacyjnej prasie amerykańskiej, ma na celu uczynienie z Niemiec zachodnich kraju — znów na wzór amerykański — w którym polityka jest domeną zawodowych polityków, a ogłupiane społeczeństwo raz na cztery lata ma „decydować”, czy chce, by nim rządili „republikanie” czy „demokraci”. Olbrzymi amerykański aparat ogłupiania mas sensacyjnymi bzdurami, produkowanymi przez koncerty prasowe, radiowe, filmowe i wydawnicze działa w bawarskiej republice z siłą niemiejszą, niż rozbity radzieckim ciemnym aparatem goebbelsowskiej propagandy.

Pomieszczenie wszelkich pojęć, brak jakiegokolwiek krytycznej staję się w tych warunkach zjawiskiem powszechnym, co dzień pogłębianym z całą świadomością przez speców od ogłupiania mas. Ten zamęt w głowach dziesiątków milionów Niemców, żyjących między Łabą a Renem, trwa z krótką przerwą dramatycznego otrzeźwienia już pełne 20 lat. W 1933 r. Hitler doszedł do władzy mając za sobą 12 milionów Niemców, którzy głosowali na jego partię. Trucizna faszystów stała się przymusową pożywką Niemców. Potem przyszedł rok 1945 i w śmiertelnym przerażeniu jakieś otrzeźwienie, ale już rok później zmęczone zostało ono wypowiedziami amerykańskich polityków. Odtąd już z coraz większą jawnością nawiązywano do tradycji hitlerowskich aż po dni nasze, kiedy to w bawarskiej republice niszczono są pomniki ofiar hitlerizmu, a wznoszone są pomniki poległym esesowcom i gestapowcom, z napisem „Obrońcom Europy!”

O tych 20 latach hitlerowsko-amerykańskiej propagandy duszącej Niemcy zachodnie należy pamiętać, oceniając 12 milionów głosów, które padły 6 września 1953 na 78-letniego Konrada Adenauera, byłego prezydenta pruskiej Rady Państwa. Był to niewątpliwie zwycięstwo generalnej linii polityki amerykańskiej w Europie: odizolowania, odcięcia 48 milionów Niemców między Łabą a Renem od postępu i demokracji, zmuszenia ich, by pozostali bierną trzodą, którą wpędzić będzie można w jakimś „Dniu X” w nową wojnę.

Czy to oznacza, że obywatele bawarskiej republiki w większości swej gotowi są iść na nową wojnę?

Oczywiście, że nie. Zwolenników wojny jest w bawarskiej republice na pewno o wiele, wiele mniej, niż było ich tam przed 20 laty. Ale ci, co głosowali na Adenauera, nie rozumieli w większości tego, że głosują na wojnę, podobnie jak wielu Niemców, głosujących przed 20 laty na Hitlera, nie myślało, że będą musieli płacić za to śmiercią pod Stalingradem.

Aparat propagandowy działający lat 20 poczynił straszliwe spustoszenie w mózgach bardzo wielu Niemców. Ich ślepotą i naiwnością polityczną jest zastraszająca. Co utrwała tę ślepotę? Podział Niemiec! Żelazna kurtyna, którą odcieł Amerykanie Niemcy zachodni od świata postępu i demokracji. I dlatego nadal mimo zwycięstwa starego separatysty Adenauera jest przeciwny zjednoczeniu Niemiec, bo wie, że z chwilą, kiedy w całych Niemczech głoszona by być mogła bez przeszkód prawda, jego zwycięstwo, oparte na 20-letnim kłamstwie, zmieniłoby się bardzo szybko w klęskę sił reakcji, a w zwycięstwo sił postępu. Adenauer więc nie mówi o zjednoczeniu, lecz o „wyzwoleniu” wschodnich Niemiec, a jego sekretarz stanu von Halstein dodaje: „...aż po Ural!”

Czy to wszystko, co powiedziałem wyżej, oznaczać ma, że w samych Niemczech zachodnich nie ma już zupełnie sił postępowych, które by mogły sparaliżować wojenną, awanturniczą politykę Adenauera?

Ta sprawa wymaga osobnego omówienia.



Liczne reakcyjne wydawnictwa, rozwijające rewizjonistyczną hecę, dopomogły niewątpliwie Adenauerowi do jego „zwycięstwa” w dniu 6 września.

przez prasę i radio, gdyby cele adenauerowskiej polityki były demaskowane przez powszechnie docierające słowo drukowane i mówione. Ale specje od zimnego faszystu zabezpieczyli się przed taką ewentualnością: prasę i radio uchwylicili równie mocno w swoje ręce, jak i w Ameryce. Nieliczną prasę postępową dusi się konfiskatami, procesami i — co najważniejsze — bojkotem firm kolportażowych. W kapitalistycznym państwie przy tysiącach możliwości szyskan ze strony aparatu państwowego stworzenie kolportażu własnego jest dla prasy postępowej niezwykle trudne, wymaga bowiem praktycznie dotarcia bezpośrednio do każdego czytelnika!

W tej sytuacji nie dziwiłem się, kiedy w Berlinie zachodnim spotykałem Niemców z bawarskiej republiki, nie znających najoczywistszych prawd, faktów ogłaszanych w prasie wielu krajów wschodu i zachodu. W okresie przedwyborczym nie znalazłem jednego pisma zachodniemieckiego — z wyjątkiem prasy KPD i dziennika b. kanclerza Rzeszy, Wirtha — które przyniosłoby pełny tekst noty radzieckiej czy komunikatu Tassa. Krótkie, kłamliwe lub co najmniej zniekształcone zupełnie informacje o stanowisku Związku Radzieckiego — to wszystko, czego dziesiątki milionów Niemców w bawarskiej republice dowiedzieć się mogą ze swej prasy i radia. Potwierdził mi to zresztą w rozmowie jeden z korespondentów zagranicznych stale przebywający w Niemczech zachodnich, że bawarska republika jest jednym z nielicznych krajów w Europie, gdzie z prasy i radia nie można absolutnie dowiedzieć się, co naprawdę dzieje się w świecie. Ilość kłamliwych wiadomości jest równie ogromna jak ilość sensacyjnych bzdur, drukowanych na naczelnym miejscach. Największe nakłady posiadają dzienniki, które przynoszą minimum wiadomości z życia politycznego, natomiast maksimum sensacyjnych bredni. Oto leży przede mną wychodzący w nakładzie 900 000 dziennik „Bild-Zeitung” z 7 września 1953 r., a więc z dnia, w którym



NOWA SYLWETA MIASTA

Opracował inż. arch. STANISŁAW JANKOWSKI, rysował inż. arch. KAZIMIERZ MARCZEWSKI, zdjęcia: WŁADYSŁAW SŁAWNY

Kiedy przed dwoma laty grupa urbanistów i architektów radzieckich i polskich szukała najwłaściwszego miejsca i najodpowiedniejszych proporcji dla Pałacu Kultury i Nauki — założenie podstawowe było jasne: przyszły gmach, najwyższy w stolicy, winien być centralnym punktem nowej Warszawy.

W ciągu niewiele miesięcy wyrósł pod niebo stalowy szkielet Pałacu. I już dziś możemy sprawdzić, o ile słuszne były założenia projektantów nowej sylwety miasta. Ile zyskał warszawski krajobraz, wzbogacony o centralny, główny akcent — Pałac Kultury i Nauki.

Spójrz Czytelniku na panoramę miasta zza Wisły. Piękno starej Warszawy, zhar-

monizowane z szerokim zakolem rzeki, zagubiło się w ciągu wieków chaotycznej, kapitalistycznej zabudowy warszawskiej skarpy. Dziś sylweta Pałacu wprowadza na stołeczny brzeg nową skalę przestrzenną, nowy centralny element, harmonizujący z istniejącą i zaprojektowaną zabudową socjalistycznego miasta.

Wyjeżdż za miasto: z odległości kilkunastu czy kilkudziesięciu kilometrów zobaczysz wyraźnie rysującą się na niebie sylwetę Pałacu — wyznaczającego nowe centrum stolicy. Przejdź się głównymi ulicami Warszawy — u wylotu biegnących ku śródmieściu arterii ujrzysz tę samą, znajomą już strzelistą sylwetę.

Tak dziś już rysuje się nowy warszawski krajobraz.



TO JUŻ NIE DALEKA WIZJA NOWEJ SYLWETY WARSZAWY, KTÓRA PAŁAC WZBOGACIŁ NOWYM PIĘKNEM I NOWYM WYMIAREM.





Sylweta Pałacu Kultury i Nauki rysuje się już wyraźnie jako centralny punkt nowego krajobrazu.



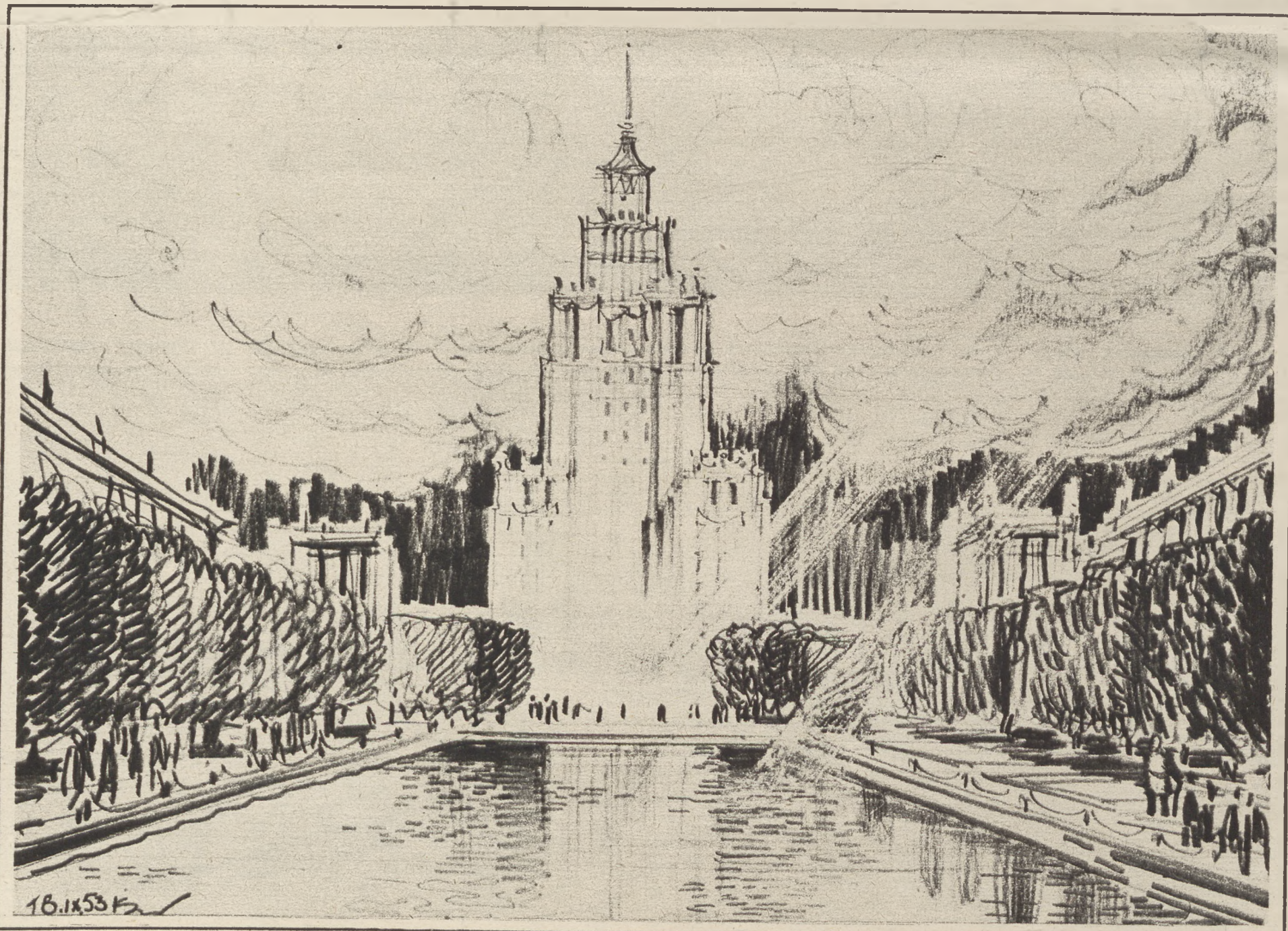
Pałac jest pięknym elementem miasta. Zawitał do twego okna.

JUŻ DZIŚ

Z lubelskiej szosy, z odległości 14 kilometrów od centrum miasta, patrzymy na Warszawę. Strzelisty gmach Pałacu wskazuje nam nieomylnie, gdzie znajdzie się nowe śródmieście socjalistycznej stolicy.

JUTRO

TAK WYGLĄDAĆ BĘDZIE WYLOT ULICY KASPRZAKA NA PLAC STALINA, WIELKA DRÓGA ROBOTNICZEJ WOLI DO ŚRÓDMIEŚCIA.





SPRAWA NASZYCH SERC

Zdjęcia: Z. MAŁEK i W. PRAŻUCH

NOWA METODA

PO ZUPEŁNYM niemal zlikwidowaniu epidemii, które w przeszłości wyludniały całe kraje — najgroźniejszymi chorobami, powodującymi największą śmiertelność, są dziś choroby serca i systemu krwionośnego, gruźlica i rak. Statystyki ostatnich dziesięcioleci lat wykazują wzrost śmiertelności osób z przekroczonym 45 rokiem życia z powodu chorób serca. Obecnie śmiertelność na choroby narządu krążenia jest największa i przewyższa straty powodowane przez gruźlicę czy raka. Dlatego lekarze wszystkich krajów usiłek pracują nad udoskonaleniem sposobów wykrywania i leczenia chorób serca.

W roku bieżącym upływa 50 lat od wprowadzenia elektrokardiografii do rozpoznawania chorób serca. W ciągu pół wieku metoda ta okazała się niezwykle wartościowa i przydatna dla medycyny. Zasadą elektrokardiografii jest pomiar prądów elektrycznych, pojawiających się w sercu wskutek jego życiowych procesów chemicznych. Prądy te pobudzają serce do skurczów. Z wielkości i kierunku przebiegu prądów czynnościowych serca rozpoznawać można choroby serca, których niekiedy słuchawka lekarska nie jest w stanie wykryć.

Jednak w samym założeniu elektrokardiografii spotykamy umowną niedokładność. Zjawiska elektryczne serca odbywają się bowiem w przestrzeni trójwymiarowej, natomiast zapisywanie tych zjawisk wykonuje się w jednej płaszczyźnie, a więc d w u wymiarowo. Między prądami czynnościowymi serca a ich zapisem powstają różnice podobne jak między przedmiotem a jego cieniem na ścianie. To uproszczenie przestrzennych zjawisk do jednej płaszczyzny stwarza możliwość licznych pomyłek w rozpoznaniu choroby, ponieważ wiele znamion chorobowych potrafi „ukryć się” w metodzie elektrokardiografii płaskiej, a z drugiej strony mniej typowa pozycja zdrowego serca stwarza niekiedy obraz elektrokardiograficzny, nie różniący się od obrazu zmian chorobowych w sercu.

Trudności napotymane przez lekarzy przy właściwej ocenie elektrokardiogramu skłoniły licznych pracowników nauki do badań nad wzbogaceniem elektrokardiografii o trzeci wymiar. W pracowniach zagranicznych zaczęto używać w tym celu dwóch rzutów zjawisk elektrycznych, odpowiadających widokowi z przodu i z boku klatki piersiowej. Z tych dwóch rzutów — podobnie jak z planu budowlanego — modelowano mozolnie makietę z drutu, która miała obrazować

prawdziwy przebieg prądów czynnościowych serca w przestrzeni. Ten sposób, niesłychanie zawiły i uciążliwy, nie rokował nadziei na przydatność w użytku klinicznym.

Opracowana w Polsce metoda stereoskopowa elektrokardiografii przestrzennej wyróżnia się szybkością, jest praktyczna i zrozumiała bez zawiłych działań z geometrii.

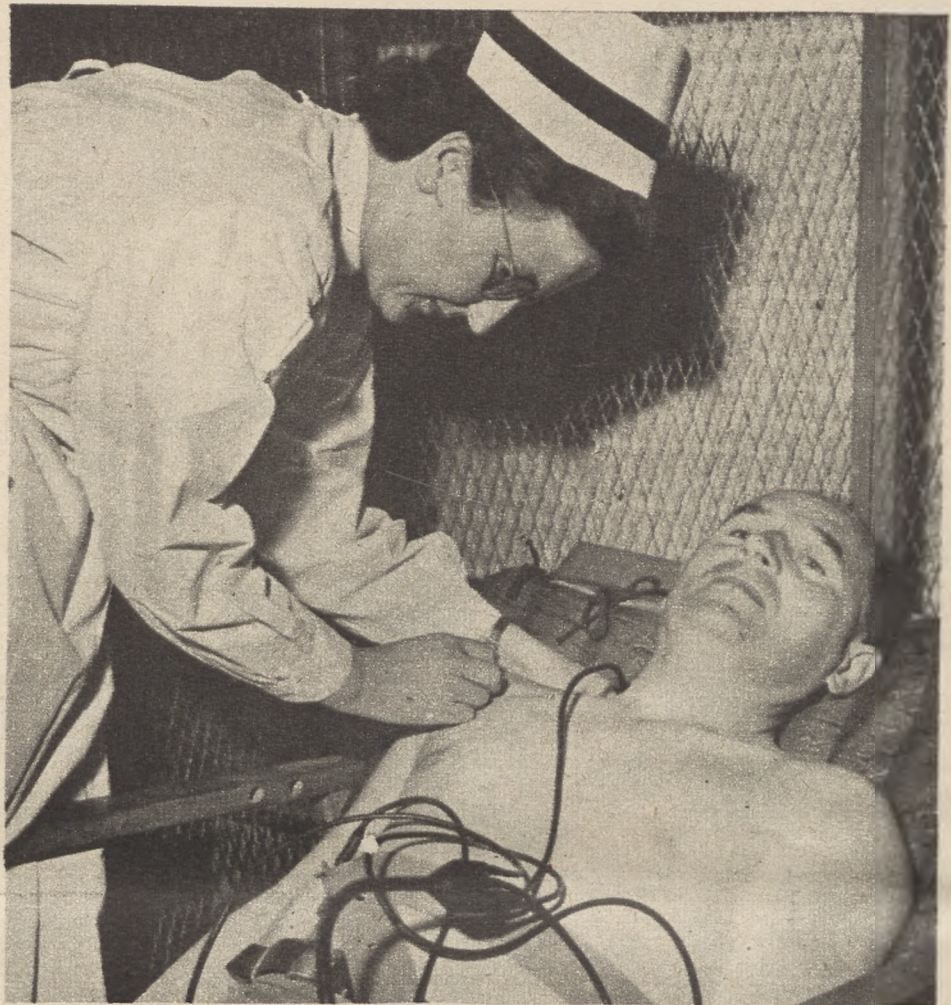
Zbudowany w tym celu aparat przedstawia prądy czynnościowe serca w obrazie stereoskopowym, a więc przestrzennym, trójwymiarowym. Obserwację stereoskopową umożliwiła istotna innowacja: przebiegające w przestrzeni prądy czynnościowe serca rzutuje się nie na dwie płaszczyzny prostopadłe, ale na dwie płaszczyzny nachylone względem siebie pod małym kątem, dzięki czemu możemy oglądać obraz przez okulary stereoskopowe. Napięcia elektryczne z przedniej i bocznej powierzchni klatki piersiowej pacjenta „przeliczone” są przez aparaturę elektroniczną na obrazy, odpowiadające kątom widzenia każdego oka. Obrazy te, obserwowane przez okular stereoskopowy, wywołują wrażenie rzeczywistej głębi i są łatwo czytelne, bez wysiłku wyobraźni.

Aparat wykonano według najbardziej nowoczesnych zasad techniki elektronicznej. Główną jego częścią składową są lampy oscyloskopowe z fosforyzującymi ekranami. Na ekranach tych promień katodowy rysuje jakby świetlikiem dwa stereoskopowe obrazy elektrokardiograficzne, wywołane przez prądy czynnościowe serca. Na jednym z ekranów oglądamy te obrazy przez okulary stereoskopowe. Obrazy powstające na drugim utrwalają się na kliszy fotograficznej. Istnieją w aparacie jeszcze dwa (w przyszłości będzie tylko jeden) ekrany pomocnicze, dające obraz podobny jak w zwykłej elektrokardiografii.

Nowa metoda elektrokardiografii umożliwia łatwiejsze i bardziej precyzyjne rozpoznanie choroby serca. Również zmiany, zachodzące w procesie starzenia się serca, staną się bardziej uchwytne. Metoda ta będzie łatwiejsza od elektrokardiografii dotychczasowej, gdyż nie będzie jej wikać niezliczona ilość indywidualnych odmian pozycji serca w klatce piersiowej.

Pełne wyzyskanie korzyści, wynikających z nowej metody, poprzedzić muszą trudne prace kliniczne, które zgromadzą zasób doświadczeń w rozpoznawaniu chorób serca za pomocą obrazów trójwymiarowych.

DR JAN KWOCZYŃSKI



Badany pacjent musi znajdować się w metalowej klatce — chroni go ona przed zewnętrznymi zjawiskami elektromagnetycznymi i pozwala uzyskać czysty obraz.

NARODZINY SKG

A CZŁOWIEK leży w klatce?

To pierwsze pytanie, niezbyt zresztą mądre, nasuwa się samo przez się. Wszystkie części aparatu są drobne, precyzyjne, powiązane setkami misternie splecionych przewodników — a ogromna klatka rzuca się od razu w oczy. Władok zaś pacjenta, skutego jakimś metalowymi obręczami, w dodatku w podwójnej, metalowej klatce — działa rzeczywiście zaskakująco.

— Tak, klatka taka jest konieczna — wyjaśnia profesor Keller. — Izoluje badanego pacjenta od wszelkich zakłóceń

elektromagnetycznych. Prądy czynnościowe serca są bardzo słabe, więc najmniejsze zakłócenia zamąciłyby nam obraz.

Pacjent leży więc w klatce, leży nieruchomo. Nie powinien pracować żaden mięsień, z wyjątkiem pulsującego nieprzerwanie serca. Praca każdego mięśnia związana jest z powstaniem czynnościowych prądów elektrycznych, a w tym wypadku chodzi tylko o mięsień sercowy. Inne muszą więc próżnować — znów, by nie zamącić obrazu.

I owe słabiutkie, ledwie dostrzegalne prądy — to klucz do tajemnic serca każdego młodego człowieka; te stosunkowo mało obchodzą lekarza-kardiologa. Chodzi o odpowiedź na pytanie: serce zdrowe czy chore? Jeśli chore, to co w nim „nawala”?

Bije serce pacjenta, a powstające prądy przebiegają w mgnieniu oka długą i skomplikowaną drogą przez labirynt lamp, przewodników, wzmacniaczy — i ujawniają się w postaci fluoryzującego rysunku na niewielkim okrągłym ekraniku. Właściwie — dwóch rysunków powyglinanych krzywymi, które pod okularami stereoskopu dają — pierwszy raz w dziejach medycyny! — plastyczny obraz prądów czynnościowych serca, słowem — zdradzają jego tajemnice.

Inżynier Elkiel i doktor Kwoczyński wpatrują się jak urzeczeni w fosforyzujący ekran. Te roztańczone pętle i zakrętaszy — to przecież przedmiot setek prób w laboratoriach całego świata — prób bezskutecznych, bo dających od lat w najlepszym wypadku częściowe



Oto stereokardiogram serca zdrowego, otrzymany w nowym aparacie. Aby obraz krzywej zobaczyć plastycznie, przestrzennie, należy na diagram popatrzyć przez dwa kolorowe szkła lub skrawki celofanu — niebieski i czerwony. Obok próbki barw w celu dobrania właściwych odcieni



A oto inny stereokardiogram zdrowego serca, otrzymany drogą fotograficzną. Czytelnik uzyska wrażenie plastyczności, gdy spojrzy na dwie białe krzywe przez stereoskop. W braku takowego — można sobie też poradzić: należy, mianowicie, patrząc z bliska, zezować, póki dwie białe krzywe nie nakryją się

tylko rozwiązania. Te zielonkawe, tak znakomicie plastyczne w stereoskopie krzywe — to najwspanialszy dotąd w nauce światowej wizerunek prądów czynnościowych serca...

Profesor Keller mówi:
— To pierwszy elektrokardiograf zbudowany w Polsce — i doskonalszy od wszystkich zagranicznych. Metoda stereoskopowa jest zupełnie nową koncepcją rozwiązania problemu plastyczności. I udało nam się tę koncepcję wcielić w życie. A nie było to rzeczą łatwą...

Doktor Kwoczyński mówi:
— Nowy aparat rokuje wielkie nadzieje dla lekarzy-kardiologów. O wartości jego woląbym jednak mówić po zebraniu doświadczeń w warunkach kliniki...

Inżynier Ekiel mówi:
— W najbliższym czasie zbudujemy jeszcze kilka egzemplarzy naszego kardiografu. Wykorzystamy nasze dotychczasowe spostrzeżenia i wprowadzimy dość dużo uproszczeń. To bardzo ważne, bo trzeba już myśleć o modelu do produkcji seryjnej...

Trzej konstruktorzy nowego elektrokardiografu pomyśleli już nawet o nazwie dla swego dzieła: na wniosek prof. Kellera ochrzczili aparat nazwą „stereokardiograf”. Jeśli Czytelnikom nazwa ta wydaje się zbyt długa — możemy się umówić, że będziemy mówić dalej w skrócie SKG.

A więc SKG pojawił się na widowni — i trzeba pomyśleć o horoskopie dla nowego obywatela w medycynie światowej. Twórcy SKG są bardzo pod tym względem wstrzemięźliwi („Nie piszcie tylko o tym zbyt entuzjastycznie, wiemy, że prasa to bardzo lubi...”), niechże więc o dalszych dziejach stereokardiografu mówią w przyszłości krzywe spadku ilości nierozpoznanych chorób serca i wykresy wzrostu zamówień dla naszego przemysłu elektromedycznego.

Zajmiemy się zatem przeszłością SKG, opowiemy o warunkach, w jakich przyszedł na świat stereokardiograf.

Wypadnie nam zacząć od doktora Kwoczyńskiego. Należy on do ludzi, których można określić mianem „pozytywnych malkontentów”. Cechuje więc dr. Kwoczyńskiego krytyczne spojrzenie na wszelkie niedoskonałości (może dlatego w dokumentach jego dotąd widnieje rubryka: stan cywilny — wolny...). A że jest kardiologiem, czyli specjalistą od chorób serca — najmocniej go dęczyła niedoskonałość kardiografii — cennej metody, która jednak czasem wprowadza w błąd.

Zdarzyło się kiedyś, że odwiedził doktora Kwoczyńskiego jego znajomy, — jak się to mówi — „chłop jak byk”. Lekarz przeprowadził badanie przy pomocy elektrokardiografu (tego zwykłego jeszcze), wziął do ręki wykres, spojrzął na pacjenta, później na linię wykresu, potem znów na pacjenta — i wysoko podniósł brwi. Nie byłam świadkiem rozmowy, jaka się wówczas między nimi toczyła, ale mogła przebiegać mniej więcej tak:

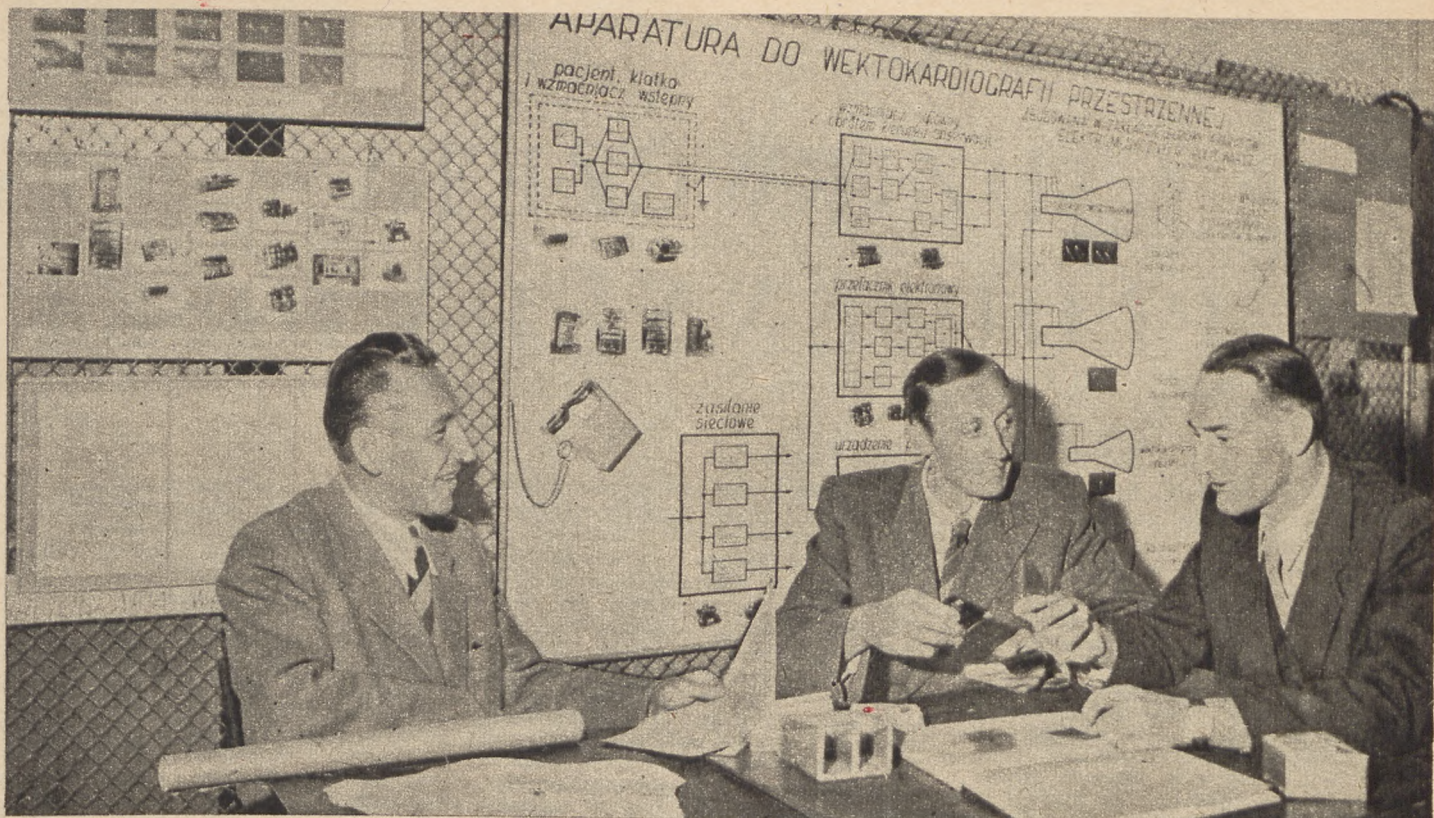
— Dokucza ci czasem serce?
— Ani trochę.
— A zdarzają ci się omdlenia, zawroty głowy?
— Nigdy.
— Nie męczysz się czasem nadmiernie przy wysiłku?
— Nawet przy największym.
— A nie odczuwasz bóli, ukłóć w okolicy serca?

— Nie zdarzyło mi się.
— Hm... Tak... To oczywiście nie twoja wina, tylko kardiografu. Wykres jest taki, jak gdybyś miał ekspressem udać się na łono Abrahama...

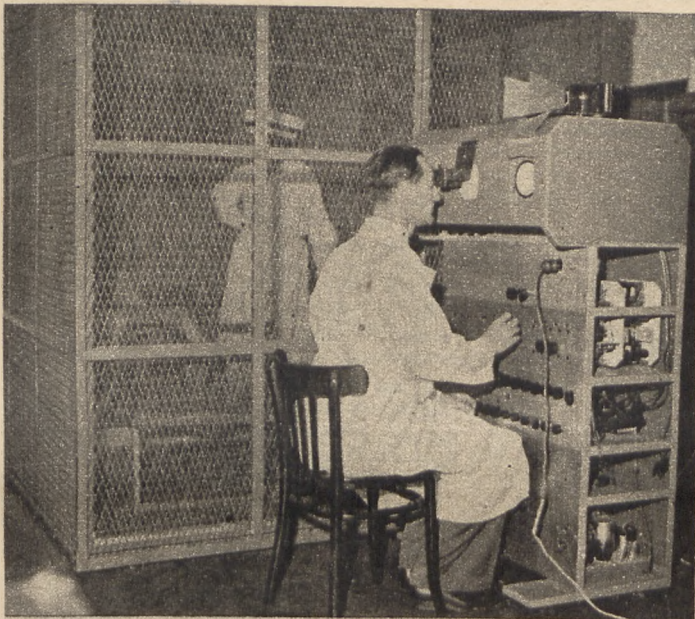
Przy dokładniejszym zbadaniu wyszło na jaw, że serce pacjenta jest ułożone w nieco pochylonej pozycji. Rezultat — na kardiogramie linie przybrały taki układ, że zupełnie zdrowe serce mogło „udawać” poważnie chore. Winą oczywiście było rzutowanie zjawisk elektrycznych serca na płaszczyznę.

Wiemy na przykład, że krążek z tektury może dać cień w postaci koła, elipsy czy nawet kreski. Jeśli na ten krążek popatrzymy jednak w przestrzeni, dwójgłosem oczu — nie trudno będzie poznać jego rzeczywisty kształt. A więc oglądać należy w przestrzeni, nie na płaszczyźnie — ten wniosek postanowił dr Kwoczyński przenieść do dziedziny elektrokardiografii.

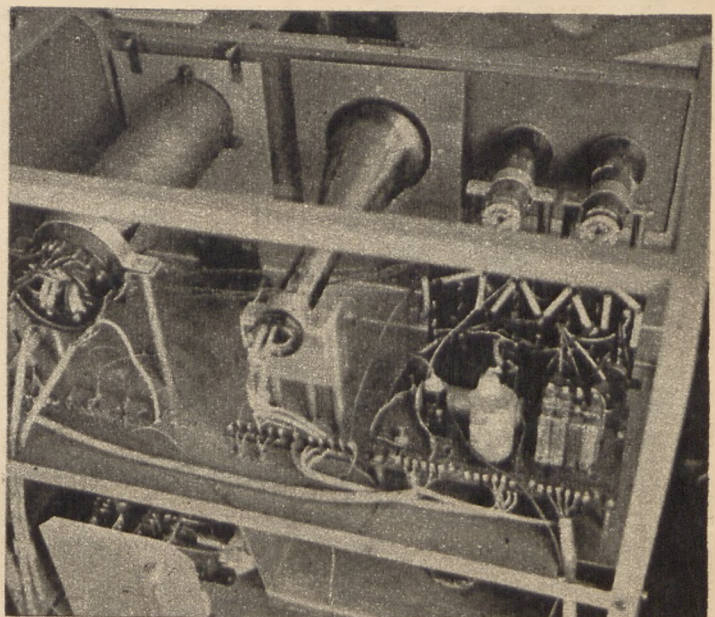
Wentowanie zagranicznej literatury fachowej potwierdziło tylko jeden fakt: że najlepsze pracownie i laboratoria w Anglii, USA, Szwajcarii czy Szwecji nie



TRZEJ OJCOWIE SKG: OD LEWEJ — PROF. JULIUSZ KELLER, INŻ. JULIUSZ EKIEL I DR JAN KWOCZYŃSKI.



Z metalowej klatki obraz prądów czynnościowych serca wędruje na niewielkie, fosforyzujące ekraniki stereokardiografu.



Serce nowego SKG — cztery lampy oscyloskopowe, w których promień katodowy rysuje obrazy elektrokardiograficzne.

zdołały jeszcze wyprodukować dobrego elektrokardiografu przestrzennego. A zatem — należało szukać jakiejś nowej, oryginalnej koncepcji.

Tak się nam wydaje czasem, że kraj nasz jest w dalszym ciągu kopciuszkiem w świecie naukowym. A oto weźmy przykład: zakłady budowy aparatów elektromedycznych istnieją tylko przy paru uczelniach w Europie; a jedną z nich — jest od 5 lat Politechnika Warszawska. Tam też skierował swe kroki doktor Kwoczyński.

Jesienią roku 1950 zabrał się do pracy nad wcieleniem w życie śmiałego projektu — trzyosobowy zespół: profesor Juliusz Keller, adiunkt inż. Juliusz Ekiel oraz dr Jan Kwoczyński. I trzeba od razu podkreślić: nie trzech naukowców, ale trzyosobowy zespół. Rozpoczęło się śmiałe przedsięwzięcie w dziedzinie, która nie ma przecież w Polsce żadnych tradycji: nie zbudowano dotąd u nas ani jednego elektrokardiografu!

Wiele można opowiedzieć o tym, jak pracował zespół. Ale wystarczy jeden wymowny szczegół: na skutek ustawicznych skarg woźnego, rektor zakazał pracy w zakładzie po 10 wieczór...

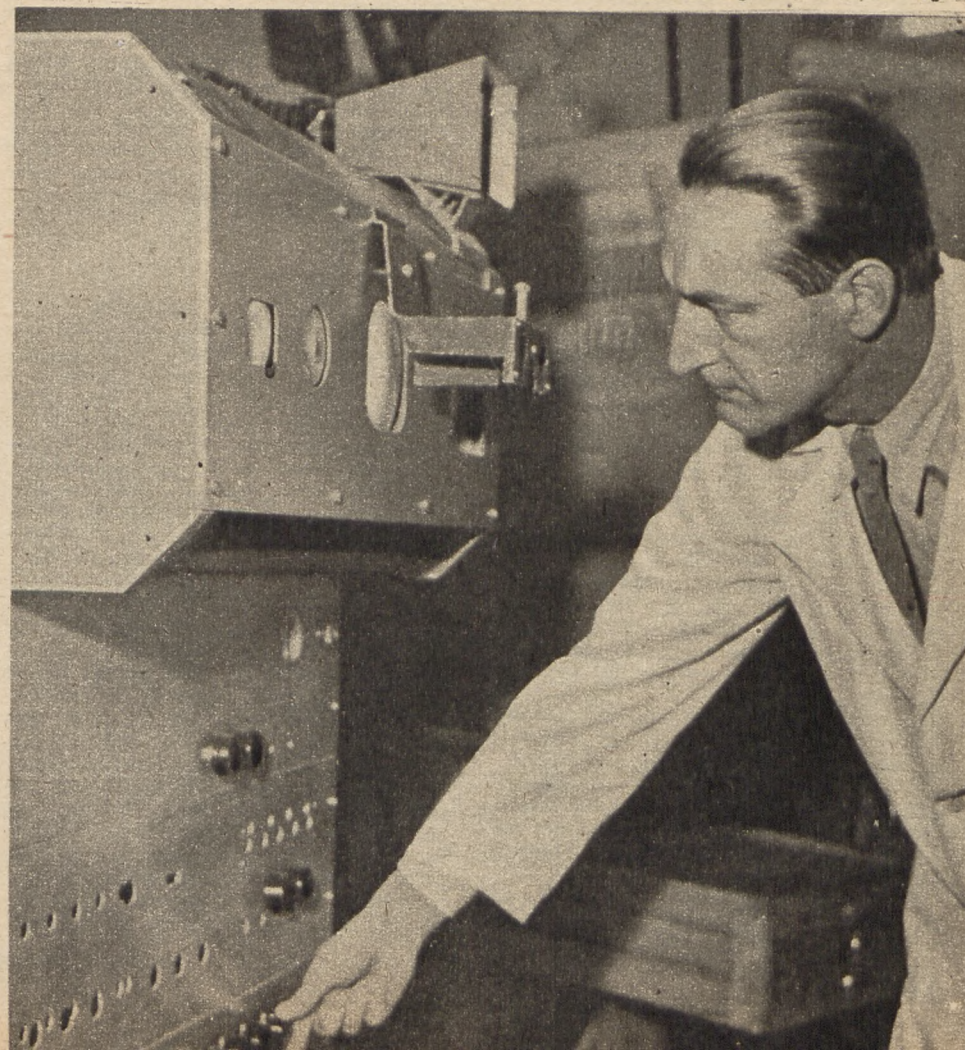
W grudniu roku 1951 otrzymano pierwsze obrazy stereoskopowe. Były one bardzo słabe technicznie — świadczyły jednak niezbitnie o tym, że konstruktorzy znajdują się na właściwej drodze. Rozpoczęły się mozolne, wielokrotnie powtarzane próby ulepszeń, rozpoczęła się walka o precyzję, niezawodne działanie.

Wiosną bieżącego roku stereokardiograf był gotów w obecnej postaci.

W lipcu — zespół wyróżniony został Nagrodą Państwową II stopnia.

EDWARD KARŁOWICZ

Skomplikowany w budowie SKG jest bardzo prosty w obsłudze. W przyszłości będzie się nim mógł bez żadnego trudu posługiwać w klinice każdy lekarz-kardiolog.



DZIEWCZĘTA Z PŁÓCIENNEJ WIOSKI



JOANNA widziała jeszcze wysoką dziewczynę, kiedy zdawały cywilne ubrania. Tamta teraz też siedziała na uboczu. Zgięła swój płaski korpus i upychała w worku szarozółty sweter o rękawach długich jak makaron włoski. Joanna patrzyła na jej twarz, oczy, wielkie usta — wszystko jednego koloru. Ktoś obiektywny mógłby powiedzieć, że anemiczne blondynki mają często niezbyt wyraziste twarze i że z tym można się pogodzić. Ale Joanna nie była obiektywna. Patrzyła umyślnie na postać podobną do „jedyńki”, kiedy tak stała pochylona nad kupką brudnej odzieży. Potem tamta zawiązała pończochą worek ze swą cywilną powierchością i wyprostowała się na



Zgięła swój płaski korpus i upychała w worku szarozółty sweter...

całą wysokość. Ujrzała spojrzenie Joanny i natychmiast jej blade oczy zapatrzyły się na pień najbliższej sosny. „Fałszywa, nawet w oczy nie patrzy” — pomyślała Joanna z zadowoleniem.

— Wiesz, że ona w dodatku nosi dziewczęcze imię Michalina — powiedziała Barbara, jakby przejrzała niechęć Joanny. A ponieważ znów żuła swoje suchary, więc imię zabrzmiało „Myssalina” i Joanna prychnęła śmiechem. Wesołość była za ostra, miała pokryć niepokój, który mącił jej myśli od chwili przyjazdu tutaj.

* * *

Potem Michalina znikła. Joanna nie znalazła jej ani w swoim namiocie, ani w namiotach sąsiednich, w których zamieszkały dziewczęta przybyłe tego dnia.

Szukała jej wbrew sobie, przechodząc po uliczkach wysypanych popielą tym żwirem. Nieporadnie stawiała stopy, nagle ciężkie i wielkie w wojskowych butach. Chodziła po terenie batalionu w ten pierwszy, już nie cywilny, a jeszcze nie żołnierski dzień — a w głowie tłukło się jej dotkliwie uczucie, że wraz z łaskami w worku oddała swój los w ręce perkatej i krzykliwej magazynierki. Zazdrościła owej dziewczynie tej niezupełnie liniowej funkcji, gdzie dyscyplina nie określała każdej sprawy dnia. Pomyślała, że magazynierka przyszła do batalionu dość wcześnie, aby znaleźć sobie to wygodne, zaciszne miejsce.

Namioty biegły w rzędach od polany do studni, białły się na tle ciemnej, trwałej zieleni sosen. Sosny były wysokie i cienkie jak maszty. Na gałęziach gałęziach z szelestem kołysał się wiatr. Namioty były jednakowe, trójkątne; na pewno trzeba będzie codziennie błędzić, żeby trafić do swego.

— Pierwsze zadanie bojowe — krzyżała Agata, wymachując beretem. —

Każdy namiot ma zdobić jakoś piasek przy wejściu. W ten sposób nasze kwatery nabiorą cech indywidualnych. W każdej armii nowego typu jest to przewidziane, może nawet regulaminem! — Plotła, kręcąc się po wąskim przejściu. — Niestety miotają mną koncepcje dekoracyjne i nie wiem, czy sama sobie z nimi dam radę. Tu potrzebny jest wysiłek kolektywny. Ja mogę rzucić myśl, a wy jako uczniowie... Ostatecznie Leonardo da Vinci też miał uczniów...

— I ona ma mieszkać z nami. Zagada nas tak, że będziemy pierwszymi ofiarami w lazarecie polowym — westchnęła brunetka z grzywką i podłużnymi oczami koloru słodowego piwa, której Joanna dotąd nie знаła.

— Proponuję wysypać z kredy skrzyżowanie mowy z kurą domową, czyli podobiznę naszego nowego orła — rozległ się spod pomostu, na którym leżała pościel, głos Barbary. Barbara zajęła się przede wszystkim swoim zapasem sucharów i schowała je głęboko przed wzrokiem ludzkim, pod deskami. Po chwili wyszła na czworakach czerwona z wysiłku, z okruszynami przylepionymi do policzków. Wojskowy pas uwydatniał jej okazałe, kwadratowe siedzenie.

— To nie żaden nowy ani skrzyżowanie, tylko historyczny orzeł, piastowski — powiedziała Krystyna tonem zasadniczym, bo była intelektualistką i pisywała wiersze. Siedziała odchylona do tyłu, trzymając przed swymi dalekowzrocznymi oczyma kilka bardzo pokreślonych kartek. Wpisywała coś do nich jeszcze, piętrząc wyrazy na marginesie.

Joanna patrzyła na te dziewczęta, z którymi wiązało ją żołnierskie życie. Milcząc siadła na nieheblowanej desce biegnącej wzdłuż pościeli. „Ten kawaleczek namiotu należy tylko do mnie” — przeszło jej przez myśl. Dziewczęta wyszły przed namiot. Joanna została sama, nie chcąc żadnym poruszeniem zmącić krótkiej chwili koszarowej samotności. Od deski, a może od niedalekich sosen szedł smolisty zapach. Trzy lata przebyte w popekanym od upału stepie kazały jej zapomnieć o smaku tego powietrza, którego rzeźwiący gorycz napelniała jej teraz płuca. Poczula, jak ciężą jej powieki, jak przez ściśniętą krtani nie może przełknąć śliny. Spotkanie z lasem dało jej pierwsze w tym dniu wzruszenie. Pomyślała, że chyba wszystkie sosnowe lasy na świecie pachną po polsku. I zziębnięta od niepokoju, tylko w tym zapachu odkryła początek swego powrotu.

Fakt, że Michalina znikła jej z oczu, wcale nie uspokoił Joanny. Widziała biało-czerwone sztandary, mocujące się z wiatrem nad wejściami do Baonu Kobięcego; hasło „Za Waszą i Naszą Wolność” wypisane wielkimi literami na czerwonej płachcie; dziwne, okazydowane orzełki znaczące berety i rogatywki; własny mundur, składający się z za szerokich spodni i bluzy, która była rosyjską „gimnastorką”, zapiętą wysoko pod szyję. Patrzyła na to wszystko przyczajona i nieufna, choć zdawało się jej, że jest tylko badawczą i trzeźwą.

Myślała o chwilach spędzonych w wagonie w drodze do I Dywizji, kiedy często budził w nocy mysi chrząst gryzących przez Barbarę sucharów. Barbara wzięła poza tym na drogę kilka wysokich, popekanycy z obfitości bochenków z sianej maki, ale te wykończyła zaraz w pierwszych dwóch dniach podróży. W drodze przyłączyła się też do nich grupka, w której była Michalina. Joanna ze swej trzeciej, najwyższej półki widziała wyrastającą ponad inne, pochyloną trochę do przodu dziewczynę. Od razu porównała ją do wyblak-

łego na słońcu strąka fasoli szparagowej. Poczula do niej niechęć bez podstaw, od pierwszego wejrzenia.

Michalina siedziała w kącie, podciągając za przejścia nogi. Dziewczęta każda nową przybyłą obstawiały pytaniami. Michalina odpowiadała głosem, jak jej twarz, bezbarwnym, zasłaniając się uśmiechem, który nie sięgał jej oczu.

Teraz nowy tryb życia podzielił dokładnie godziny dnia. O regularnie oznaczonych porach dziewczęta wypadały z namiotów, o innych wbiegały z powrotem, chwytając kociołki i pędziły w stronę kuchni, potem wracały pośpiesznie, aby szybko odpocząć w przerwie obiadowej, i znów biegiły na ćwiczenia. Zdawało się, że powietrze przesycone jest pośpieszem. Upał filtrowany przez rozgrzane gałęzie skraplał się na twarzą, przenikał przez bluzy, które płwowały szybko od słońca i prania. Dzień przyjsca do batalionu oddalał się i błądził.

Uchować chciała Joanna ten dzień i jego wspomnienie od naporu nowych spraw, które mnożyły się codziennie.

Biegała z kociołkiem lub pepeszą, wieczorem po odśpiewaniu „Roty” kładła się na twarde łóżko i dopiero sen, który spadał ciężko na jej rozbite od zmęczenia ciało — uciszał myśli o sprawach tego wojska, o losie Michaliny i o jej własnej, gorzkiej tajemnicy, z której czerpała upór i lęk.

W tym szeregu zdarzeń przyszła kolej na pierwszą pogadankę oświatową. Druga kompania rozsiadła się w półkole na płowym igliwnu i ciepłej, pełnej piasku trawie. Z niedalekiej kuchni sosnowy wiatr niósł zapach omasty i pokrzykiwanie kucharek. Widać je było stąd, jak kręciły się białe, koło ciemnych kotłów na kółkach. Oficer oświa-



Druga kompania rozsiadła się w półkole na płowym igliwnu i ciepłej, pełnej piasku trawie...

towy wyszedł śpiesznie z jasnej uliczki namiotów i stanął w półkole. Była to niewysoka, krótkonoga kobieta, której donośny głos nieraz słyszały dziewczęta w sąsiednich namiotach. Miała szerokie ruchy i włosy pod furaczką zakręcone w cienki warkoczek nad karkiem. Wysokim głosem zaczęła pogadankę. Mówiła o sprawach znanych Joannie z transparentów i z artykułów w batalionowej gazetce ściennej. Wyliczała cele I Dywizji, wspominała o „żołnierzach, byłych tułaczach” i o tym, że na sojuszniczej ziemi noszą polskie mundury. Wtedy Barbara szepnęła: „To pewnie o naszych kurzych orłach i koszulach na łasiemki” — a Joanna kiwnęła jej solidarnie głową. Popatrzyła

naokoło. Widziała twarze wiankiem okalające małą polankę z zamaszystym oficerem-kobietą, która głosem napiętym jak do kłótni krzyknęła właśnie, że przyjdzie chwila, kiedy one, siedzące tutaj, pójda przy boku Armii Czerwonej bić wspólnego wroga.

Joanna pomyślała o tym wspólnym wrogu, który w jej mieście przebywał dwa tygodnie, a potem cofnął się za graniczną rzekę. Niemcy z tych dwóch tygodni, to byli dobrze wykarmieni młodzieńcy w nieznajomych mundurach. Oglądali wystawy, wypijali w kawiarniach ostatki piwa, a wieczorami grali na rynku ciężkie marsze, połyskując mosiężnymi trąbami w zachodzącym, też jakby z mosiadzu odlanym, słońcu. Kiedyś nawet rozmawiała z jednym. Pamięta, jak poprawił błąd w jej szkolnej niemiezczyźnie, jak z uśmiechem gładził sobie dłonią mundur na piersi i nie nalegał, widząc pobladłą twarz jej ładnej kuzynki.

To był ten wspólny wróg z pogadanki oświatowej. Kobieta w furaczerce umilkła. Chodząc tam i z powrotem po wolnym kawałku trawy w kole dziewcząt powiedziała po chwili, że teraz mogą zadawać pytania. Joanna siedziała, obejmując ramionami kolana. Słyszała wiatr biegnący po czubach sosen i czyjs głos za sobą, pytający, czy rodziny zmobili-zowanych dostaną dodatkowe racje żywnościowe. Słyszała odpowiedź oficera, że rodziny żołnierzy I Polskiej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki korzystają z tych samych praw co rodziny krasnoarmiejców. Słyszała nieśmiałe pytania i energiczne odpowiedzi i w swym zagubieniu zrozumiała, że nie zapyta o nic. Pochyliła niżej głowę, bo ciążyły jej te wszystkie nie ułożone w my-

ślach sprawy. Wybrała milczenie jak Barbara, która szepnęła w ucho Joanny: „Po co pytać, dla mnie i tak jest wszystko jasne” — i włożyła do ust na znak lekceważenia kilka ziarenek słonecznika.

Joanna pomyślała, że może warto byłoby się teraz zapytać, czy takie jak ona nie są potrzebne w magazynie lub kancelarii. Była przecież uczotczykiem w brygadzie polowej, umie liczyć na liczydłach. Za papierkową ścianą wykazów produktów dla kuchni lub raportów z pralni znajdzie spokój i życie najprostsze w obecnych warunkach. Ale gdy kobieta w furaczerce rzuciła dwa razy nalegająco: „No, czy to wszystko?” — Joannę nie zapytała o nic. Pogadanka

skończyła się, wykładowczyni znikła między drzewami, a dziewczęta pobrękując kociolkami, stanęły parami w kolejce po obiad.

Po którymś takim obiedzie, szorując piaskiem kociołek przy studni, Joanna podniosła głowę i zapomniała o kociółku. W grupie stojącej przed namiotem oficerów — ujrzała Michalinę. Łatwo było ją spostrzec, tylko poznać trudno. Oczywiście była wyższa od wszystkich o głowę, ale głowa ta była teraz ostrzyżona na krótko, prawie po męsku. Na włosach jaśniejszych od skóry, twarzy siedziała uszywniona drutem rogatywka. Zamiast „gimnastorki” miała na sobie oficerską bluzę, gabardynową spódnicę i buty z miękkiej, lśniącej skóry, układające się w harmonię na łydkach. Żółte rzemienie przecinały na krzyż jej wysoki stan i Joannie przyszło na myśl, że wysokie kobiety lepiej wyglądają w mundurze od niskich i szerokobiodrych.

Patrzyła na tę przemianę, a woda z rudej od rdzy rury chlupała na kociołek. Podbiegła Agata, która pilnowała porządku przy studni:

— Janka, uważaj, błoto robisz. A poza tym masz na twarzy wyraz takiego nieinteligentnego zdziwienia, że przykro patrzeć. Ze Michalina została oficerem oświatowym? To dziwne, ale prawdziwe. W ludowym wojsku politycznie uświadomiony żołnierz powinien być przygotowany na awans bliźniego; a teraz bierz kociołek.

Piwnooka dziewczyna, która nazywała się Wikta i mieszkała w tym samym namiocie, szepnęła w skupieniu:

— Patrzcie, co za buty! Ja bym codziennie takie czyściła, nawet bez przeglądu. Dla własnej przyjemności. Niesłychanie twarzowe!

— Za te buty duszę polityce zaprzędała — rzekła Barbara, wycierając tłuste dłonie o spodnie. — Joanna, pożycz mi kawałek chleba. Jutro powinien być „drugi front”, to ci oddam.

„Drugim frontem” przewano amerykańskie konserwy mięsne. Były jedynym widomym dowodem, że świat zachodni bierze udział w wojnie.

Dziewczęta weszły do namiotu. Słychać już było przechodzące szybko wzdłuż płóciennych ścian głosy dowódców plutonów: „Zbiórka-a-a!” Barbara wpełchnęła do ust ogromny kawał brązowego chleba i jeszcze bardziej pucowała wata sapiąc wybiegła z Joanną na uliczkę.

Na zbiórce kompanii dziewczęta ujrzały obok porucznika Bondarowej — Michalinę. Stała patrząc na nie, a w opalonej twarzy oczy jej wydawały się teraz zielonkawe, jak morska woda przy brzegu. Słońce przyciemniło jej bezbarwną bladłość, tylko włosy przy czole miała jeszcze jaśniejsze, prawie białe.

W ciszy wyczekujących dziewcząt porucznik Bondarowa powiedziała, że od dziś oficer oświatowy bez stopnia — Michalina Kasprzak — jest zastępcą dowódcy kompanii do spraw oświatowych. Potem popatrzyła wyczekującą na Michalinę, która zrobiła krok na przód. Przesła wzrokiem od twarzy do twarzy, jakby dobierając swoje pierwsze słowa przeznaczone dla kompanii. Dziewczęta były pewne, że teraz spadnie na nie zasadnicze przemówienie, ale Michalina powiedziała tylko, że od teraz pracować będą razem, że razem pójdą przez niełatwe żołnierskie życie. Powiedziała także, że wspólną dobrą wolą zdobędą wojskowe wykształcenie i świadomość własnej uczciwości, bo będąc żołnierzami I Dywizji, stanęły po stronie prawdy. Potem uśmiechnęła się lekko i rzekła, jakby do każdej z nich z osobna: „Cieszę się, że przyszłam właśnie do waszej kompanii. Znamy się już przecież trochę, jeszcze z wagonu”.

W ten nieoczekiwany sposób zakończyła Michalina swoje pierwsze przemówienie. Potem poszły w pole na ćwiczenia. Za i przed Joanną maszerowały jednakowe, jak powielone przez kalkę czwórki. Miały piasek leśnej drogi wznosił się małymi chmurkami do oczu i nozdrzy. Sosnowy cień przerywały płachty słońca, potem drzewa zostały w leśnej gromadzie, a na dziewczęta spadło z nieba bez chmur gorąco. Rozgrzało włosy, mundur na ramionach i żelazo saperskich łopatek na biodrach. Joanna widziała Michalinę maszerującą w kurzu obok porucznika, śpiewała z innymi: „Gdy trąbka zagra do apelu...” — i nie mogła poradzić sobie z myślami, które silniejsze były od upału i zadawnionego zmęczenia.

Dalszy ciąg nastąpi



„Pawilon polski jest przestrzenny, lekki, a jednocześnie elegancki” — pisała po otwarciu Międzynarodowych Targów w Sztokholmie szwedzka gazeta codzienna „Ny Dag”.



Chargé d'affaires PRL w Sztokholmie, Szulkin (z lewej), podejmował w pawilonie polskim Ambasadora Związku Radzieckiego, Radionowa z małżonką, oraz licznie zebranych gości.

POLSKA W SZTOKHOLMIE

Zdjęcia: ATELIER UGGLA

NA MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH w Sztokholmie — największej imprezie tego typu w północnej Europie — Polska zaprezentowała szereg eksponatów z różnych dziedzin naszej wytwórczości: od węgla — poprzez maszyny — do wyrobów przemysłu lekkiego i artykułów codziennego użytku.

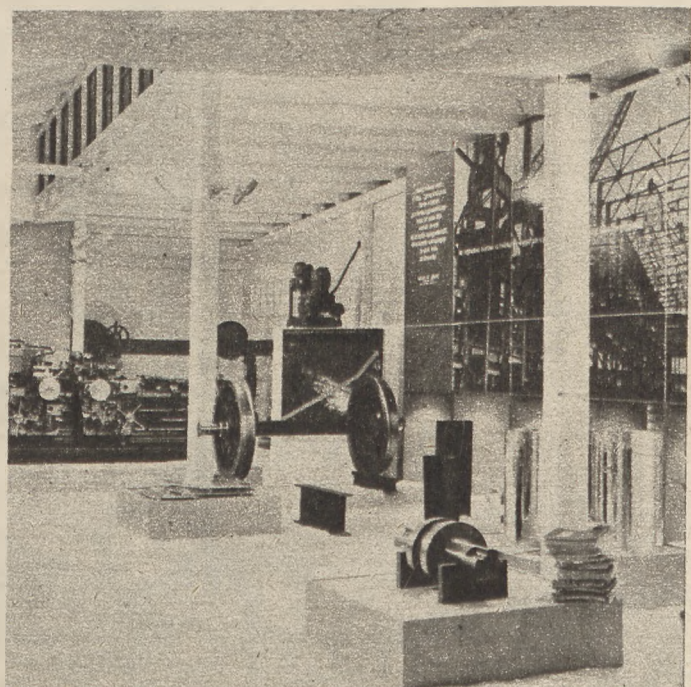
Prasa szwedzka z wielką życzliwością oceniła udział Polski w Targach. Gazeta „Stockholm Tidningen” pisała: „Po roku Polacy znów prezentują elegancki pawilon, gdzie biały grysyk marmurowy na podłodze kontrastuje pięknie z czarnym węglem, który otrzymał oczywiście pierwszoplanowe miejsce. Przemysł ciężki, tekstylia i chemikalia są również reprezentowane w szerokim zakresie”.

Pawilon polski przedstawił Szwecji możliwości polskiego handlu zagranicznego. W chwili obecnej wymiana polsko-szwedzka obejmuje szereg towarów, przy czym ze strony szwedzkiej dominującym artykułem eksportowym jest ruda, a ze strony polskiej — węgiel. Istnieją jednak — jak stwierdził radca handlowy PRL w Sztokholmie, Aleksander Kotlicki — przesłanki do rozszerzenia tej wymiany. Przemysł polski, rozwijający się wszechstronnie i coraz szybciej, staje się wciąż silniejszą podstawą rozwoju naszego eksportu. Z drugiej zaś strony w związku z podnoszeniem się stopy życiowej mas pracujących Polska zamierza rozszerzyć import produktów konsumpcyjnych ze Szwecji.

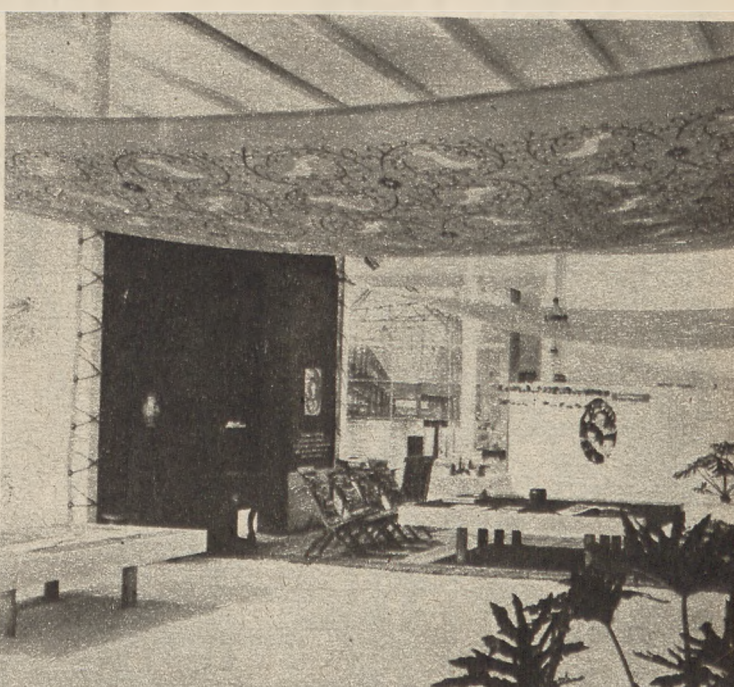
Udział Polski w Międzynarodowych Targach w Sztokholmie był wyrazem dążności naszego kraju do rozwijania międzynarodowej wymiany handlowej, ważnego elementu w dziele zacieśnienia i utrwalenia pokojowego współżycia narodów



Wewnątrz pawilonu polskiego w ogromnej misie gipsowej wystawiono produkty spożywcze: konserwy, suszone jarzyny i wiele innych. W głębi widać stoiska z węglem i maszynami.



Oto stoisko z polskimi maszynami. Różnorodne modele maszyn wystawionych na Targach świadczyły o wysokim poziomie i wysokiej precyzyjności naszego przemysłu maszynowego



Stoisko książki i prasy. Zwiedzający Międzynarodowe Targi w Sztokholmie mogli zebrać interesujące wiadomości o ruchu wydawniczym i upowszechnieniu czytelnictwa w naszym kraju.

BOJOWNICY REWOLUCJI I POKOJU

Wydawnictwo Artystyczno - Graficzne RSW „Prasa”
Warszawa 1953

WYDANA niedawno teka rysunków Tadeusza Kulisiewicza jest drugą z kolei publikacją powojenną prac znakomitego artysty. Pierwszą była teka „Warszawa 1945”. Od czasu powstania tego cyklu dzieła Kulisiewicza lata, w których narodził się nowy styl jego twórczości. Miłośnicy pięknej sztuki Kulisiewicza pamiętają z jego wystawy zbiorowej (Zachęta, 1952) cykle przedwojennych drzeworytów ze Sienkiewicza, walc w Gorcach, których tematem było życie górali podhalańskich, skąpe w radości, a obfitujące we wszystkie kłopoty, jakie niesie głód i nędza. W tym cyklu artysta nie szuka, wzorem wielu innych, sztucznej i wymyślnej malowniczości; w cyklach z lat trzydziestych chodzi mu przede wszystkim o wyrażenie określonej społecznej prawdy. Podobnie jak „Warszawa 1945”, choć tematycznie tak różne, są one oskarżeniem, protestem, świadectwem nieszczęść i zbrodni.

Po cyklu „Warszawa 1945” zaczyna się nowy okres w twórczości artysty, gdzie głównym akcentem jest afirmacja rodzącego się świata, potwierdzenie nowej epoki. Tu właśnie znajdują się dwa cykle wchodzące do omawianej teki: „Żołnierze rewolucji i pokoju” (1950) oraz „Bojownicy o wolność i demokrację” (1951-52). Mamy więc historię ruchu rewolucyjnego naszych czasów, którą Kulisiewicz pokazuje dwójako: poprzez osoby przywódców i bohaterów i poprzez bezimiennych żołnierzy rewolucji, pokoju, postępu. Obok portretów Lenina, Stalina, Dzierżyńskiego, Mao Tse-tunga, Świerczewskiego, Pasternaka, jest tu chłop chiński, jeden z wielu, który mówi o pokoju; żołnierze koreańscy idą do walki; kobiety francuskie manifestują w obronę swych dzieci; Brygady Międzynarodowe walczą o wolność i niezawisłość Republiki Hiszpańskiej; prości ludzie z całego świata podpisują Apel Sztokholmski.

Zmiana tematyki prowadzi do zmiany formy, środków wyrazu. Styl powojennych rysunków Kulisiewicza jest bez porównania bardziej powściągliwy, dyskretny, oszczędny. W studiach portretowych skala spozyczeń psychologicznych została znacznie poszerzona. Mistrzostwo rysunkowe Kulisiewicza pozwala mu przy pomocy kilku kresek wydobyc cechy charakteru modela, dramatyczny nastrój sytuacji, patos wydarzeń. Bezładna umiarkowana kompozycja przestrzeni, stwarzania układów zwartych i syntetycznych pasuje go na mistrza współczesnego rysunku.

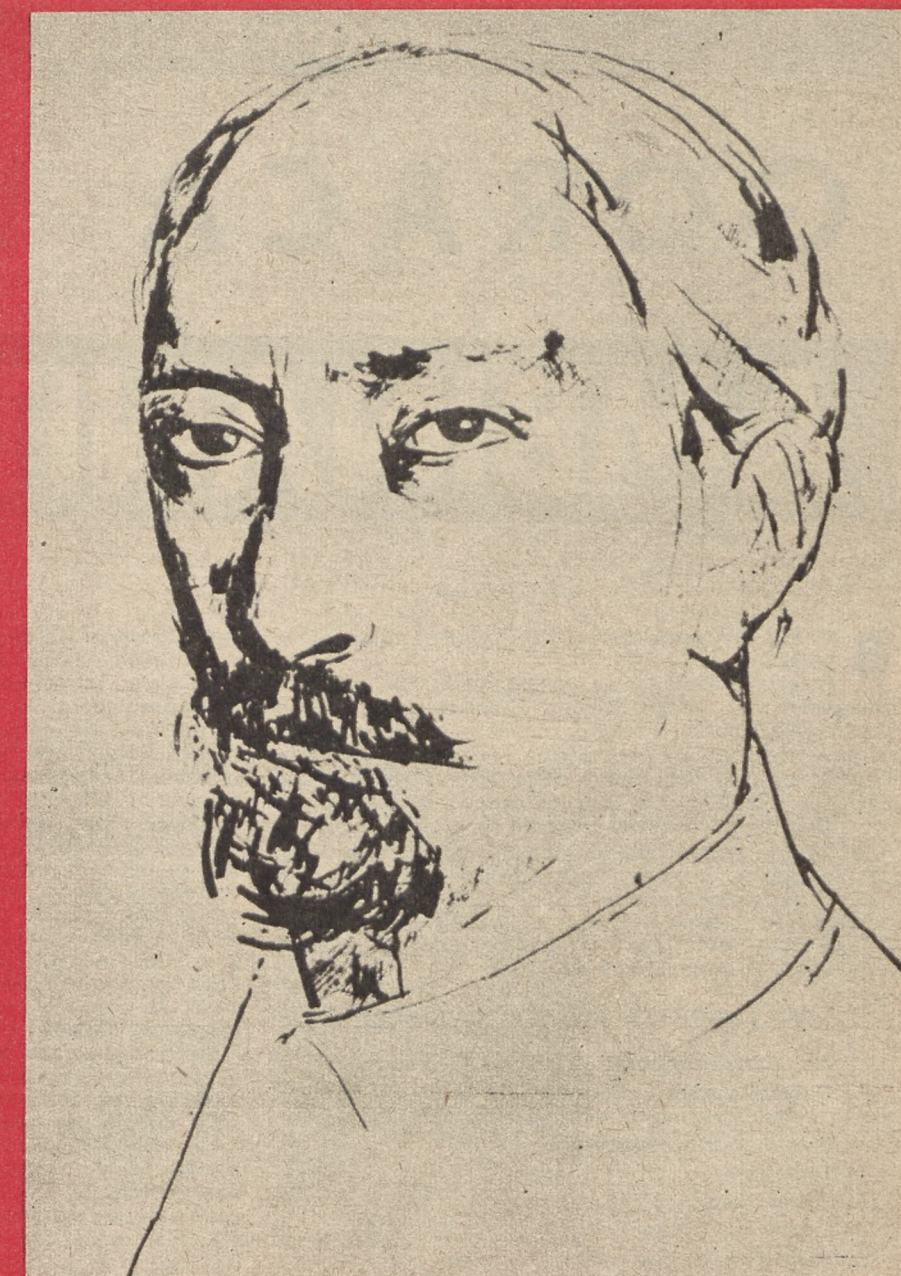
Teka Kulisiewicza, wydana nakładem Wyd. Artystyczno - Graficznego RSW „Prasa” (Warszawa, 1953), jest piękna i starannie przygotowana publikacją, opatrzoną krótkim, ale treściwym i swartym wstępem p. J. Lenicy. Należy sobie tylko sobie życzyć, żeby publikacje tego rodzaju i na tak wysokim poziomie ukazywały się u nas częściej.



WALKI BRYGAD MIĘDZYNARODOWYCH (Z CYKLU: HISPANIA 1936).



CHŁOPIEC KOREAŃSKI.



FELIKS DZIERŻYŃSKI.



ŻOŁNIERZE KOREAŃSCY.



CHŁOP CHIŃSKI MÓWI O POKOJU.



MAO TSE-TUNG



ŻOŁNIERZE.



MANIFESTACJA POKOJOWA KOBIET FRANCUSKICH.

GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

BO TO, co vazaha mówi, jest dziwne i nieprawdopodobne.

Przecież wiadomo, że kobieta rodzi. To jej przeznaczenie: być matką. Ziemia również rodzi, ziemia jest również matką, i między ziemią a kobietą nie ma istotnej różnicy. Czy biali ludzie nie wiedzą, że dusza kobiety wywodzi się z duszy ziemi i że jeśli przyroda powierzyła kobietom trud rodzenia dzieci, to musiała im również powierzyć i trud przy płodach ziemi?

W gorącej, bujnej dolinie wyrasta malgaski panteizm dokoła potęgi: miłości macierzyńskiej. Jedno uczucie ogarnia wszystkie twórcze matki, jeden korowód łączy przedziwnie plenność ziemi ze szczęściem kobiety, z tkliwością zwierząt, z tajemnicą owadów i nawet z uniesieniem czupurnej, małej osy...

23. LOLOPATY, ZWIASTUN ŚMIERCI

— Czy dobrze idziemy? — pytam Velomody.

— Dobrze, vazaho — odpowiada cicho, raczej wymową swych żywych, płonących oczu, niż głosem.

— Czy na pewno znasz drogę?

— Na pewno.

— I długo jeszcze pójdziemy?

— Krócej niż by zagotować ryż.

„Zagotować ryż“ jest malgaską miarą czasu, wynoszącą mniej więcej kwadrans.

Dawno opuściliśmy już uprawne pola, ścielące się dokoła Ambinantele. Za nami zamilkły odgłosy wsi. Zewsząd otoczyła nas puszcza. Ukośne, popołudniowe promienie słoneczne ledwo docierają do ziemi poprzez

gęste listowie. Ścieżka wiedzie wzdłuż Antanambalany, w górę rzeki, chociaż samej wody nie dostrzegamy i tylko bliskość jej odgadujemy po wilgoci gruntu.

Puszcza otacza nas tak bujna, że nawet nad Amazonką niewiele znałem podobnych ustroni. Cały rozpad rozrodczy, na jaki stać trzy twórcze siły: stałą wilgoć, stały upał i nadrzeczną urodzajność ziemi — ów rozpad spłodził tu nieprzebitą gęstwinę drzew, krzewów, lian i trawsk. Pnie i gałęzie przeważnie kryją się pod kołbami przeróżnych narośli, wśród których odkrywamy znane nam gatunki storczyków. Potężne paprocie drzewiaste sterczą jak widma nie z tego świata. Węzowiska lian okręcają się dokoła pni olbrzymów i dławią je. Inne pnącze zwisa z gałęzi niby festony i kotary, a jest ich tak wiele, że las wydaje się czasem istotą, którą okrutnie złapano w sieci. Czy dziwić się Malgaszom, że boją się puszczy i uważają ją za siedlisko mściwych duchów?

Jest wciąż gorąco. Istny ogień leje się z nieba i bucha na nas wśród krzewów. O tej popołudniowej porze zbudziło się już ptactwo, a owady jeszcze nie spoczęły. Więc dokoła nas kłębi się nieprzebrany przepychem życie zwierzęce. Widać je, ale jeszcze więcej słychać. Brzęki, bzyki, szumy, świsty — to miliony latających, pełzających, drążących owadów; głośnie skrzeki, świergoty i śpiewy wszelakie, ale i odgłosy kłekołu, klaskania, miauczenia, tarcia piły, uderzeń bębna i raz po raz dzikiego śmiechu ludzkiego — to ptaki. Przeciagły skowyt to chyba lemury. Zabrałem ze sobą strzelbę, lecz nie strzelam: Velomody niesie siatkę na motyle, nie łowi. Mamy dziś szczególną zdobycz na celu.

Mało uczęszczana ścieżka staje się coraz bardziej zapuszczone i coraz mniej widoczna. Trzeba przedziierać się przez wiszary i pnącze i często przeskakować z muraszka pnie. Bez dziewczyny dawno bym zbłądził w zielonym chaosie.

Mijamy część lasu o gęsto splecionych wierzchołkach drzew, gdzie na ziemi panuje wieczny półmrok. Pachnie tu cynamonem, miodem i pieprzem. Znamienny dla tej puszczy zamęt woni jest drażniący: ostry, a miły.

Nagle Velomody, krocząc przede mną o parę kroków, wydaje stłumiony okrzyk przerażenia i cofając się przyskakuje do mnie. Chwyta mnie kurczowo za ramię. Trwożny wzrok wlepią w coś daleko przed sobą.

— Lulpat! — szepce; czuje, jak drży jej ręka.

Lolopaty — wymawia się lulpat — znaczy dosłownie motyl śmierci. Jest to dość wielka ćma nocna o ciemnobrązowej barwie i czarnych zygzykach na skrzydłach. Często przebywa w pobliżu sadyb ludzkich. Kilka okazów tego motyla, którego nazwa łacińska brzmi *Patula walkeri*, Bogdan schwycił już podczas nocnych łowów przy lampie na płótnie. Musiał przy tym baczyć, by żaden Malgasz nie zauważył połowu, każdy lolopaty bowiem uchodzi za ducha zmarłego czarownika. Jako złowróżbny zwiastun śmierci jest na całym Madagaskarze jednym z najgroźniejszych fad. Nie tylko dotyk jego, lecz nawet sam widok przypomni nieszczęście.

Idąc za wzrokiem dziewczyny odkrywam leżącego wśród krzaków motyla, którego w półmroku widocznie coś przedwcześnie zbudziło. Wyrwam z jej rąk siatkę i w wielkich susach pędzę za lolopatą.

— Stój, vazaho! — słyszę za sobą okrzyk po malgasku. W podnieceniu Velomody zapomina o języku francuskim.

Dopędzam motyla pomimo gęstwiny i szczęśliwie chwytam go w siatkę. Trzepoce się w niej jak mały, czarny ptaszek. Za mną biegnie Velomody. Doskakuje do mnie i szarpie gwałtownie za ręce. Na jej twarzy obłądny wyraz sprzeciwu.

— Puścić, vazaho! — woła. — Nieszczęście... wielkie nieszczęście!...

Nigdy dotychczas nie ulegałem jej woli, gdy chodziło o jakieś niedorzeczne zabobony malgaskie, które mogłem być przewycięzać swą powagą vazahy. Lecz teraz waham się. Wyraz lęku i rozpacz w jej oczach ostrzega mnie, że nie wolno mi przeciągać struny.

— Nie zabijaj go, nie zabijaj! — błaga Velomody.

Na ogół nie jest skłonna do uniesień, więc nagły jej przestraszenie uświadamia mi całą wagę, jaką dziewczyna przykłada do sprawy.

— Dobrze, Velomody. Uspokój się! — powiadam.

Motyła puszczam na wolność. Uśmiecham się widząc, z jaką ulgą moja vadi ściga wzrokiem uciekającego lulpata.

— Bardzo niebezpieczny — usprawiedliwia się.

— Chyba tylko dla ciebie! — mówię żartobliwie. — Ja — vazaha.

Dziewczyna odzyskuje szybko swój zwykły spokój. Odpowiada z niewzruszoną miną, tylko mrugnieniem powiek zdradza jej ukrytą kpinę:

— Vazahowie nigdy nie umierają, ej?

— Ale nie od takiego lulpata — odcinam się.

— Niebezpieczeństwo było blisko nas, blisko ciebie też — krótko i poważnie stwierdza Velomody i kroczymy dalej.

Powodem naszej obecnej wyprawy jest inny motyl, którego parę dni temu chłopcy złowili w puszczy i nam przynieśli. Chociaż był bardzo zepsuty, to jednak na jego widok Bogdanowi i mnie zbierały oczy ze zdumienia, był to bowiem największy na świecie zawisak, *Xanthopan morgani praedicta*. Goliat, z rozmiarów przypominający raczej jaskółkę niż motyla, zachodzi w kolor brązowy, a brzuch ma różowy. Obecność w okolicy Ambinantele rzadkiego zawisaka wielce nas uradowała i zaczęliśmy dopytywać się mieszkańców wsi o drugą osobliwość Madagaskaru, biologicznie ściśle związaną z *Xanthopanem*: o storczyka *Angroecum sesquipedale*, słynnego z tego, że kwiat jego posiada cudacznie długą ostrogę.

Niezwykły storczyk, znany Europejczykom od przeszło dwóch wieków, budził zawsze sensację i ciekawość, w jakim celu przyroda wyposażała go w tak nadmierny przyrząd, aż niedawno temu odkryto motyla *Xanthopana* i sprawa się wyjaśniła. Nienormalnie długa trąbka pyszczkowa motyla właśnie odpowiada niernormalnie długiej ostrodze storczyka. I w istocie, gdzie na Madagaskarze rośnie piękny a cudaczny storczyk, tam żyje także motyli olbrzym i przylatuje do niego po nektar.

Posiadając motyla zaczęliśmy dopytywać się we wsi, gdzie rosną takie storczyki, i okazało się, że mieszkańcy je znali. Oto Velomody prowadzi mnie do ustronia, w którym rzekomo je widziano.

— Już jesteśmy blisko — mówi moja przewodniczka.

Przed nami błyska biała powierzchnia wody. To nie sama rzeka, lecz szeroka jej odnoga, rodzaj zatoki. Także i tu, jak gdzie indziej, gęstwina wtłacza się aż ponad wodę. Velomody prowadzi mnie o kilkadziesiąt kroków od ścieżki. W pobliżu brzegu zatoki sterczy kilka na pół zwalonych drzew, a na ich zmurszałych pnich jaśnieją — tak, to one! — storczyki, o które mi chodzi. Poznaję natychmiast ich sześciolistne, białe kwiaty z długimi ostrogami. Jest tych kwiatów dwadzieścia kilka, bajeczne gwiazdy na tle zielonego poszycia.

Z siatką w ręku ukrywamy się tuż niedaleko. Nie przypuszczam, żeby przyleciał zaraz pożądany zawisak, jeszcze bowiem brak godziny czasu do zachodu słońca, a poza tym nie jest pospolity. Trzeba tu w przyszłości podjąć stałe i cierpliwe zasiadki. Dziś to tylko próba.

Czekanie nie jest przyjemne. Komary tną jak smoki, a siatek ochronnych nie zabraliśmy. Mimo to rozkosz patrzeć na piękny krajobraz dokoła. Stoimy o kilkanaście kroków od zatoki i mamy otwarty widok na jej brzegi. Ciocha, mulista woda tworzy, widać, dodatkowe źródła ciepła i wilgoci, bo bujność roślin tu fantastyczna. Gdzie indziej puszcza jest tylko zielona, mało w niej kwiatów. Tu natomiast, korzystając z wolnej nad wodą przestrzeni, wyrosły kwiaty, jakich dotychczas nie widziałem. Drzewa*) o rozłożystych konarach i wielkich liściach unoszą się nad samą wodą, a z gałęzi ich zwisają na lodygach różowe, kuliste kwiaty, ogromne jak dwie pięści razem złożone. W tych okazałych, wiszących pomponach, przykuwających uwagę jaskrawą barwą, przebija się nie tylko namiętne piękno przyrody, lecz i jakaś nieposkromiona buńczuczność jej przepychu.

Viscosa! — podaje mi Velomody nazwę drzew, widząc, z jakim zachwytem na nie patrzę.

Viscosa oznacza po malgasku coś w rodzaju „uderzenia“ lub „błyskawicy“.

*) *Astrapoea Walllichii*.



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

AMBITNY TEATR

Teatr Klubu Robotniczego przy Zarządzie Portów Gdynia - Gdańsk znany jest dobrze na całym Wybrzeżu.

W ciągu kilku lat swego istnienia wystawił on szereg dobrych sztuk i znacznie podniósł swój poziom artystyczny. Nie przyszło to jednak tak prosto i łatwo. Początki były trudne.

Gdy w roku 1948 grupa zapaleńców zaczęła w mieszkaniach prywatnych przygotowywać komedie Skowronskiego i Słowackiego „Przyjmujemy 8,30” — zamiast pomocy i opieki spotkała się z kpinami i drwiącym wzruszeniem ramion. Nie zraziło to jednak zespołu.

W prymitywnych warunkach, w drewnianej szopie

nym lokalu Klubu Robotniczego, z doskonale wyposażoną salą teatralną na 1000 osób.

Idzie teraz wielokrotnie powtarzany „Wodewil Warszawski”, idą — przy wypełnionej szczerze sali — Tokajewa „Konkurencja” i Maliszewskiego „Wczoraj i Przedwczoraj”, zdobywając na Festiwalu Sztuk Polskich wyróżnienie w eliminacjach wojewódzkich.

Za szczególnie ożywioną działalność w akcji przedwyborczej Frontu Narodowego zespół zostaje odznaczony przez Prezesa Rady Ministrów, Bolesława Bierut, dyplomem uznania. Wyróżnienie to staje się bodźcem do nowych wysiłków i osiągnięć teatru.

Sztukę postępowego pisarza



Scena ze sztuki H. Tanka „Południk 49”, grana przez amator-ski teatr Klubu Robotniczego w Gdyni

odbyło się pierwsze przedstawienie. Obejrzał je cały port, a potem wielu widzów z okolicznych miejscowości. Mimo to kierownictwo portu i Zarząd Związku Zawodowego Pracowników Żeglugi nadal nie okazywały zespołowi ani zainteresowania, ani pomocy.

Dopiero wówczas, gdy teatr jednoaktówkami Czechowa i sztuką Isajewa „Tu mówi Tajmyr” zdobył popularność na całym Wybrzeżu — Związek i kierownictwo Portu stworzyły mu w końcu lepsze warunki pracy w pięk-

amerykańskiego H. Tanka pt. „Południk 49” przygotowuje teraz zespół ze specjalnym zapatem i starannością.

Zespół po eliminacjach wojewódzkich w końcu lipca br. wziął udział w Festiwalu Sztuk Współczesnych w Warszawie.

Uznanie, jakim Teatr Klubu Robotniczego na Wybrzeżu cieszy się niemal w wszystkich, jest dla członków zespołu zachętą do dalszej pracy.

T. Por. owski, Gdynia
Fot. E. Zdanowski

DZIECI EMIGRANTÓW U TRAMWAJARZY WARSZAWSKICH



Ta piękna lalka w ludowym stroju francuskim to upominek tramwajarzy Niciel, przywieziony przez dzieci z Francji

Przed paru tygodniami pracownicy MPK gościli na Młynarskiej grupę 240 dzieci polskich z Francji, Belgii i Holandii, które przebywały w kraju na wczasach.

Spotkanie to, mimo różnicy wieku, było bardzo przyjemne i serdeczne. Młodzi goście czuli się swobodnie, opowiadając starszym o pracy swych rodziców, o warunkach w jakich żyją, o swej nauce i zabawach, o tym wreszcie — z jaką radością i zaciętością jechali do ojczyzny.

Dzieci z Francji przywiozły list od tramwajarzy Niciel z serdecznymi pozdrowieniami dla tramwajarzy Warszawy. Szczególną radość i zachwyt dzieci wywołały upominki, wykonane przez pracowników MPK, zwłaszcza śliczny model tramwaju.

Po części artystycznej, w której wystąpili mali goście i zespół pracowników MPK — dzieci zostały zaproszone na wspólny obiad.

Wi. Seklarczyk, Warszawa



Grupa dzieci z Francji w strojach krakowskich



Wielki wybór wólen gładkich i kraciastych zaspokoi najwybredniejszy gust.

Centrala Tekstylina w Łodzi zorganizowała we wrześniu wystawę tkanin. Celem jej było pokazanie bogatej produkcji przemysłu włókienniczego.

W wielkich salach Domu Włókienniczego zgromadzono ponad 600 nowych wzorów tkanin jedwabnych, bawełnianych i wełnianych, ze specjalnym uwzględnieniem materiałów sezonowych.



Szumnie zwany „Park rozrywkiowy” — to tandetna brama, jedna dziecięca huśtawka i wiele śmieci i chwastów

Długa, szeroka plaża, przepiękne lasy, rozkołysane morze — oto Międzyzdroje. Ze względu na swe naturalne walory miejscowość ta w pełni zasługiwałaby na miano „perły Bałtyku”, gdyby nie kilka „ale”.

Międzyzdroje są brudne i zaniedbane. Trawniki i skwery — to przeważnie udeptana ziemia, na której gdzieś gdzie krzewi się bujne chwasty; asfaltowe ulice pełne są dziur, a sterty śmieci wskazują na to, że rzadko zagląda tu miotła. Przy samej plaży, gdzie, jak głosi napis: „Zsypany śmieci surowo zakazane” — fetor unoszący się nad górami śmieci każe przechodniom szczególnie zatykać nosy. W mieście niszczące wiele domów, które można by stosunkowo łatwo wyremon-

PRZODUJĄCA OPERA

Opera Wrocławska rozpoczęła nowy sezon dziełami Moniuszki. Wystawiła już „Parie”, „Flisa” i balet „Na kwaterunku” oraz „Straszny Dwór” w nowej inscenizacji i reżyserii J. Popiela.

Plan repertuarowy za rok ubiegły załoga placówki wykonana w 140% i przekroczyła plan usługowy.

Za zwycięstwo we współzawodnictwie międzyzakładowym w upowszechnianiu kultury w roku 1952 Państwowa Opera we Wrocławiu zdobyła proporzec przechodni Zarządu Głównego Związku Pracowników Kultury i Sztuki.

Z. Mazanowski
Fot. Z. Moser

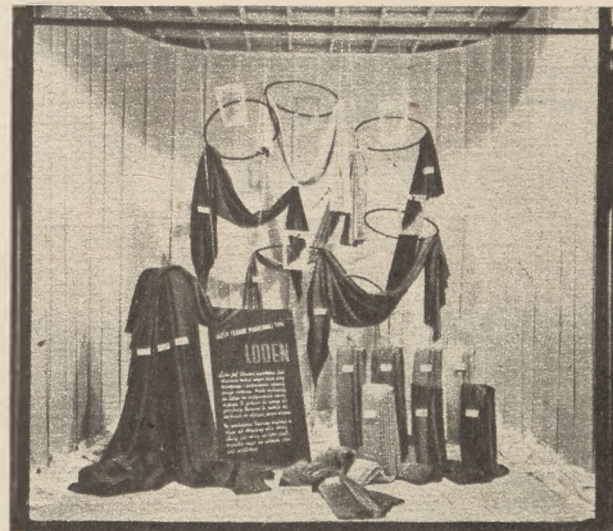
Wśród materiałów bawełnianych pokazano około 400 różnych nowych wzorów; wystawiono piękne desenie kretonów, batystów i wistry oraz śliczne materiały dla dzieci o zabawnych wzorach z pługami, lalkami, konikami. Stoiska te sprzedają dziennie ponad 4.000 metrów tkanin. Mniej wystawiono wełny, ale i tu pokazano około 160 wzorów różnych kolorów, deseni i gatunków. Obok wełen lekkich, materiały na garnitury męskie, kostiumy damskie, a przede wszystkim 80% podpinkę pod piaszczę impregnowane, oraz ładny i nadzwyczaj praktyczny loden na wierzchnie okrycia — cieszyły się dużym zainteresowaniem i powodzeniem u zwiedzających. Tkaniny z naturalnego i sztucznego jedwabiu wyróżniały się lekkością i bogactwem barw.

Podczas wystawy przeprowadzono wśród kupujących specjalną ankietę, która miała na celu ustalenie potrzeb i upodobań najszerzych mas pracujących.

Estetycznie i przejrzyste zaprojektowana wystawa przez art. plastyka, Alfreda Watorowskiego, doskonale zaprezentowała dorobek naszego włókiennictwa i ułatwiła kupującym dokonanie wyboru.

Wystawa w Łodzi cieszyła się wielkim powodzeniem; ma ona być również zorganizowana i w innych miastach kraju.

P. Jurlew, Łódź



...a tu w kilku kolorach loden na wierzchnie okrycia. Szkoda, że nie widać na zdjęciu, jaki jest ładny i przyjemny

BY SZYBCIEJ ODBUDOWAĆ KOREĘ



Franciszek Cioroch

Franciszek Cioroch — członek spółdzielni produkcyjnej w Tarnowie (pow. obornicki, woj. poznański), postanowił przekazać zaoszczędzoną w ciągu dwóch lat sumę 15.000 złotych na odbudowę Korei.

Cioroch pochodzi z powiatu puławskiego, w Poznańskim osiedlił się dopiero po wojnie. W roku 1949 założył wraz z innymi chłopami spółdzielnię w Tarnowie, do której należy również jego syn. Spółdzielnia dobrze się rozwija, a Cioroch nie boi się pracy, nie więc dziwnego, że mógł odkładać oszczędności na księżeczkę PKO. Początkowo Franciszek Cioroch miał zamiar kupić za te pieniądze samochód osobowy, przeznaczyć je jednak na rzecz Korei, wiedząc, że w ten sposób przyczyni się do szybszej odbudowy tego bohaterskiego kraju.

M. Masłowska, Poznań
Fot. K. Przychodzki

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

ODLEGŁOŚCIOMIERZ

„Na jakiej zasadzie pracuje dalomierz w aparacie Leica...” — zapytuje czytelnik J. Rachygiel ze Zgorzelca, który chciałby się o tym dowiedzieć, lecz „nie chce rozbiierać aparatu na drobne części bojąc się, ażeby go nie uszkodzić”.

I słusznie. Gdy nurtuje nas ciekawość, jak pracuje mechanizm aparatu, na jakiej zasadzie działa odległościomierz czy światłomierz lub migawka, nie należy nigdy samemu rozbiierać aparatu, lecz zwrócić się o wyjaśnienie do specjalisty, poszukać wytłumaczenia w literaturze fotograficznej albo napisać do nas.

Odległościomierz, znany i używany od dawna w artylerii, zbudowany jest na zasadzie oglądania fotografowanego przedmiotu z dwóch punktów. Okienka naszego odległościomierza oddalone są od siebie o kilka centymetrów. Promienie obrazu padające przez jedno okienko, załamane są w ruchomym pryzmacie, a następnie odbite w lusterku, które jednocześnie, będąc powleczone bardzo cienką warstwą srebra, przepuszcza promienie przechodzące przez drugie okienko. Spoglądając w wizjer odległościomierza, widzimy w ten sposób podwójne kontury obrazu. Pokrywają się one tylko wtedy, gdy obiektyw jest ustawiony na właściwą odległość.

Odległościomierze w aparatach produkcji zakładów Zeissa działają na zasadzie ruchomych klinów szklanych, przy czym lusterka ustawione są na stałe. Inny typ odległościomierza (Kodak) ukazuje nam obraz przepołowiony — jego części schodzą się ze sobą natychmiast, gdy znajdziemy już właściwą odległość. Odległościomierz tego typu (artyleryski) opiera się na konstrukcji ruchomych pryzmatów, umieszczonych na krancach podstawy pomiarowej.

Przy odległościomierzu nie wolno samemu majstrować ani „regulować” go. W wypadku fałszywych wskazań, aparat należy zanieść do specjalisty-mechanika. Również przy wkręcaniu obiektywu, specjalistycznego odległościomierza sprężyny, należy zwracać uwagę, aby nie uszkodzić dźwigni, stykającej się z pierścieniem oprawy obiektywu. Dlatego też w popularnym aparacie „Zorki”, wkręcając obiektyw (fotografatorzy bardzo często bawia się niepotrzebnie wkręcaniem i wykręcaniem obiektywu), należy pierścień z podziałką odległości nastawić na 1 metr, gdyż przy nastawieniu na „nieskończoność” tubus metalowy wystaje dość daleko z oprawy i łatwo może uszkodzić lub rozregulować klin odległościomierza.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

H. Jonek, Inowrocław. W wywoływaczu uniwersalnym „Film Polski” negatywy należy wywoływać 3-4 min. Tabele obrotowe głębi ostrości dla obiektywów o ogniskowej 5 cm wkrótce zamieścimy.

A. S., Kazimierz. Przesłany nam negatyw został b. słinnie zaświetlony w czasie wywoływania lub po jego zakończeniu, a przed utrwaleniem. Nastąpiła tzw. solaryzacja, czyli wytworzenie się obrazu pozytywowego zamiast negatywowego. Jak sprawdziliśmy, przysłana nam próbka filmu była nie dość utrwalona. Powodem nieostrości załączonych zdjęć jest obiektyw. Nie kryje on całego pola obrazu. Może rozkręcone są części obiektywu? Prosimy o podanie charakterystyki aparatu i obiektywu. Prosimy również o podanie swego adresu, dla odesłania zdjęć i negatywu.



Scena ze „Strasznego Dworu”. Miecznik — S. Szuflet, Cześnikowa — A. Dankowska,

WAZON CZY FORTEPIAN?



Rys. Charlie

NA EKRANY polskie wszedł nowy film. Zjawisko to — na razie jeszcze rzadkie — daje pole do szerokiej dyskusji. Jesteśmy jeszcze w kinematografii tak młodzi... że znów mamy do czynienia z „pierwszym polskim filmem...” tym razem satyrycznym. Nie jest to więc typowa komedia filmowa, nie jest to kontynuacja „Skarbu”. Wydaje się, że to stwierdzenie jest ważne, gdyż nieznany grunt usprawiedliwia potknięcia twórców.

OPOWIEŚĆ O PEWNYM WAZONIE

...Było to bardzo, bardzo dawno temu... Co prawda Brama Floriańska nie zapinano już na guziki, ale „Przekrój” wychodził jeszcze w szacie dwubarwnej i drukował felietono-nowelę (okr. autorki) Stefani Grodzieńskiej o pewnym wazonie. Na początku ktoś komuś wręczył wazon (odcinek pierwszy), ten ktoś wręczał wazon komuś drugiemu (odcinek drugi), ten drugi następnemu (odcinek trzeci)... Po kilku odcinkach nikt już nie pamiętał, skąd się wziął wazon i o co chodzi. Wreszcie „Przekrój” (używając swej drugiej barwy) przestemplował jaskrawo n-ty odcinek felietono-noweli okazałych rozmiarów nadrukiem **DOKOŃCZENIE**. To spowodowało, że czytelnicy nowelę dookończyli dowiadując się, że wazon wyładował w rękach pierwszej fundatorki.

OPOWIEŚĆ O NIEPEWNYM FORTEPIANIE

Autorka felietono-scenariusza wybrała do filmu zamiast łatwo przenośnego

wazonu o wiele cięższy fortepian, pozostawiając go aż do ostatniej sceny filmu na miejscu w magazynie muzycznym. Ten unieruchomiony fortepian zastąpił jednak w pełni wazon z „Przekroju”, gdyż bez niego nie byłoby filmu, tak jak bez wazonu felietono-noweli.

Takie ustawienie akcji powoduje niebezpieczeństwo. Czytelnicy „Przekroju” mieli przynajmniej cały czas wazon przed oczami i mogli interesować się, dokąd wreszcie trafi. W dzwonek „Sprawy do załatwienia” co chwilę gubią fortepian z oczu (i z pamięci), przez co rzekoma pointa filmu z doświadczeniem fortepianu dla świetlicy fabrycznej nie stanowi rozwiązania dramatycznego. Forte-pian kończy swoją rolę w momencie, w którym miał ją zacząć: na występie eliminacyjnym zespołu świetlicowego.

Może autorzy chcieli uniknąć występów i skoncentrować swą uwagę tylko na ostrej satyrze szkodników? Przekonamy się, że nie.

Początek filmu zdaje się zapowiadać nowy styl. Komentarz wprowadza głównego bohatera Stefana Wiśniewskiego, reportera telewizji, oraz pannę Zosię... Wiśniewską (in spe). Po takim komentarzu spodziewamy się pary... no, nie amantów, ale dwojga młodych ludzi, którzy mieliby sobie coś do powiedzenia, których połączyłyby wspólne przeżycia, usprawiedliwiające optymizm komentatora dającego ich ślubu „zapowiedź pierwszą”.

Niestety tak się nie dzieje. Stefan Wiśniewski pozostaje w filmie całkowicie nieczuły zarówno na urok panny Zosi, jak i na jej sprawy, zarówno na piękno Warszawy, jak i spacer w parku łazienkowskim. Sądząc z twarzy aktora nie jest w stanie go wzruszyć lub zainteresować, umie się tylko zadyszeć biegając kilka razy z piętra na piętro. Gdyby nie uwaga Michała Meliny („owszem, dziewczyna niezła”) i Jana Kurnakowicza, nie wiedzielibyśmy w

ogóle, że Zosia podoba się komukolwiek z ekipy telewizyjnej...

Z napisów wstępnych filmu wynika, że Stefan i Zosia to główni bohaterowie filmu. Realizatorzy Rybkowski i Fethke powierzyli im więc odpowiedzialne zadanie. Trudno winić młodych bohaterów, że nie przemawiają do przekonania. Zostali obsadzeni w rolach, z

których niewiele można wykrywać. Bohdan Niewinowski zwrócił na siebie uwagę epizodem w „Pierwszych dniach”, ale w owej scenie aktor — zgodnie z rolą — nie wykazywał ani ciepła, ani koniecznej (w nowej roli) kapki sentymentu. Oba realizatorzy nie postarali się o to, aby — skoro już zdecydowali się powierzyć Niewinowskiemu rolę amanta w komedii satyrycznej — zmienić suchy styl jego gry. Gizela Piotrowska jest debiutantką. Brak ciepła i barwy, a zwłaszcza brak ustawienia głosu, który wy-

Rys. Charlie

padł niefonogenicznie, obciąża znów realizatorów, którzy debiutantce powinni pomóc w pierwszych krokach filmowych. Nie zrobili tego. O pannie Zosi nie wiemy nic poza tym, że jest pracownicą w fabryce i ma trochę energii.

Wydaje się, że autorzy komentarza, przeznaczyszy z góry pannę Zosię Stefanowi, tak bardzo byli przekonani, że do tego dojdzie, iż nie troszczyli się o drogę wiodącą do małżeństwa.

Po wydarzeniach przedstawionych w filmie, w którym wszystko dzieli parę bohaterów, a nic jej nie łączy, jedynym logicznym zakończeniem byłoby: „No, to do widzenia panno Zosiu, może znów kiedy przyjadę do fabryki i zobaczymy się...”

BOHATER O OŚMIU TWARZACH

Istotnym bohaterem filmu jest Adolf Dymśa, a raczej galeria postaci, które przedstawia. Scenarzyści nałożyli na barki ulubieńca publiczności brzemię, które nie zawsze było lekkie, ale które poniósł Dymśa z lekkością, wyrównu-

„TAKSÓWKA Nr 3886”

TAKSÓWKA NR 3886” należy do gatunku komedii obyczajowej, poświęconej codziennemu życiu przeciętnego człowieka pracy. Rodzaj ten jest tradycyjny w filmie francuskim, gdzie po raz pierwszy wprowadził go jeden z najwybitniejszych reżyserów w dziejach kina, Rene Clair, w głośnym filmie z r. 1929 „Pod dachami Paryża”. W okresie gdy na ekranach europejskich obowiązywał „dramat z życia wyższych sfer salonowych”, konwencjonalny, pretensjonalny, odbywający się w zafaloszonym środowisku hrabiów, dyplomatów i wielkowiświatowych kokot — Clair pokazuje ubogie przedmieście paryskie, oddalone zaledwie o pół kilometra od kosmopolitycznego centrum wielkich restauracji, błyskotliwych bulwarów i biur turystycznych. Żyją tu ludzie prości, serdeczni, uczciwi, bynajmniej nie marzący o zrobieniu kariery salonowej, i znajdujący dosyć radości w swoim świecie pracy, szczerych uczuć, w miłości, która nie jest grą konwenansu, ambicji czy interesu.

Temat przedmieścia paryskiego powtarza Clair w następnych swoich filmach, dziś już klasycznych, jak „Milion” i „14 Lipca”, gdzie pokazuje nastrój ubogiej ulicy w dniu francuskiego święta ludowego. W ten sposób powstaje gatunek, żywy do dziś, podjęty przez świetnych reżyserów, jak Daquin, Gremillon, Becker i w. in. Po wojnie oglądaliśmy w Polsce dwa filmy należące do owego rodzaju, „Antoni i Antonina” Beckera — historię młodego niezamożnego małżeństwa, żyjącego na poddaszu, które wygrywa los na loterii, za co Antoni kupi sobie wymarzony motocykl, oraz „Bez adresu” J. Chanols, gdzie bohaterem jest postać typowa dla klimatu ulicy paryskiej — szofer taksówki.

Tę samą figurę odnajdujemy w „Taksówce 3886”, filmie zawierającym charakterystyczne cechy gatunku stworzonego przez Claira. Jest to historia jednego ruchliwego, lecz przeciętnego dnia pracy starego paryskiego taksówkarza. Życie jego mijają wśród rodziny, w pogodnej

atmosferze, wśród rozmów na temat zamążpójścia córki i flirtów syna. Zdaniem odświętnym jest tu rocznica ślubu szwagierki, która wyszła za policjanta, jowialnego, lecz nadmiernie lubiącego wino, z czego wynika mała kłótnia rodzinna. „Monsieur Taxi” czuje się dobrze w tym świecie prostym, ubogim, o rozrywkach niewyszukanych i moralności opartej na uczciwości wzajemnej.

Jednakże w ciągu swego długiego życia, w trakcie codziennej pracy „Monsieur Taxi” styka się w każdej niemal godzinie, gdy jego skromny wóz krąży po ulicach Paryża — z kosmopolitycznym światem wielkiej stolicy, gdzie wegetują tysiące pasażerów. Odwozi on kokotę do luksusowego domu schadzek, elegancka cudzoziemka-hochsztapler, śledzona przez policję, zostawia w jego samochodzie torbę z zawrotną sumą 300.000 fr., młoda aktorka — w przyszłość jego synowa — zaprasza go na lampkę wina do nocnego kabaretu, gdzie „girls” tańczą dla zamężnych gości. Ten ciągły kontakt ze światem bogactwa, błichtu, bulwarowego przepychu nie wpływa na najmniejszy stopień na zmianę poglądów szofera, który flegmatycznie wykonuje swój zawód, obsługując klientów grzecznie, lecz ze sceptycyzmem. Jest on uodporniony na pokusy i, mimo że zdaje sobie sprawę, że pasażerka, która zgubiła u niego pieniądze, nie jest osobą godną szacunku, zwraca przeciw całej sumie, „bo w takich głupich zasadach go wychowano”. Nie ma on fałszywych ambicji, by stać się podobny do niebieskich ptaków, jakich ogląda codziennie, i niechętnie patrzy na związek swego syna z aktorką do chwili gdy przekona się, że jest to prosta i uczciwa dziewczyna, podobna do całego jego otoczenia.

Dzięki takiemu ujęciu oraz grze znakomitego aktora charakterystycznego, Michel Simona, film „Monsieur Taxi” daje portret typowego francuskiego „człowieka ulicy”, stojącego może niewysoko, jeśli idzie o świadomość społeczną, ale ujmującego przez swoją zdrową, uczciwą, pewną choć prostą moralność życia codziennego.



Adolf Dymśa w roli referenta Banasiewicza, w rozmowie z Bohdanem Niewinowskim

jąc talentem braki tekstu.

Osiem skeczy, w których występuje, można pod względem formalnym podzielić na dwie kategorie: skeczy zamkniętych, po których rozegraniu nie wracamy do danej postaci, i skeczy otwartych, z nawrotami do raz już ukazanego „typka”. Ten formalny podział nie daje nam jednak wyobrażenia o wartości poszczególnych skeczy, gdyż spośród dwu „otwartych” jeden nie ma żadnej wartości ani dowcipu (skecz o gadule), a drugi jest najlepszą partią filmu (rozbudowany w trzech scenach skecz o referencie Banasińskim).

Banasiński stanowi całkowitą nowość tego filmu, nie jest przeniesiony z obcych doświadczeń komediowych, stanowi postać psychologicznie wykończoną, a dzięki dobrej charakterystyce i interpretacji wypełnia swoją czołową rolę: jest ostrzeżeniem dla biurokratów, którzy muszą niepewnie czuć się w kinie, widząc konterfekt tak doskonały. Warto zaznaczyć, że w krótkim epizodzie Dziwowski jako dyrektor dobrze skecz ten uzupełnia.

Spółród sześciu skeczy zamkniętych „sofer taksówki” wydaje się niedopracowany, a „bikiniarz” polega na nieporozumieniu wynikłym z scenicznego sukcesu Dymyzy w tej roli. Widz teatralny znajduje się daleko od sceny i może łatwo przyjąć Dymzę-bikiniarza. Widz kinowy, uzbrojony w zbliżenia, odkrywa liczne odchylenia od typu bikiniarskiego, które odrealniają tak typową postać. Dymsza jest zbyt krepy do tej roli i... nie dość młody. Braki aparycji nie dały się nadrobić grą razem przesadną. Zupełnie zbyteczna wydaje się w filmie małocharakterystyczna rola sprzedawcy butów. Tu Dymsza powtarza swą mimikę z innych, znacznie dowcipniejszych skeczy, obniżając ich wartość.

Pozostają bardziej pogłębione skecze: komiwojażer w wagonie sypialnym, kelner i bokser. Komiwojażer wysunąłby się na czoło dzięki dzielnemu sekundo-waniu Bielickiej i Kwiatkowskiej, gdyby nie powrót do bardzo już ogranego humoru sytuacyjnego z wielką ilością waliz. Zakończcie nie sceny, w której Dymsza śpi wygodnie na łóżku, podczas gdy towarzysze jego przedstawieni jako ludzie pracy leżą zwinięci, obstawieni walizkami, chybłą celu, gdyż dowcip sytuacji został całkowicie odrealniony. Skecz o dwu kelnerach, w którym Dymszy dzielnie sekunduje Jankowski, a gości grają z powodzeniem Witasi i Łapiński, jest zabawny i typowy. Zdrowym śmiechem odznacza się też finał bokser-ski, ale... warto zaznaczyć, że jedyny w całym filmie żywiołowy wybuch śmiechu wywołuje nieporozumienie z fotografią pięknej dziewczyny odnalezioną w portfelu widza-panofilarza. Ilekroć takich samych świetnych okazji do śmiechu opuścili w tym miejscu scenarzyści!

DWIE WSTAWKI REWIOWE

Słusznie zauważono, że wstawka teledyktu-baletowa nie ma żadnego związku ani z treścią filmu (pokazanie palcem szkodników społecznych), ani z akcją (zakup fortepianu). Ale nie na tym koniec. Jakis wyjątkowo udany taniec, nawet niezupełnie związany z przemyśleniami bohaterów, mógłby dodać uroku temu filmowi. Jednakże mimo znanego talentu Bittnerówny i Parnella nie udało się choreografowi zorganizować tańca filmowego, który musi różnić się zdecydowanie od tego, co widzimy na scenie. Jeśli dorzucimy do tego zawziętość „akcji” literackiej baletu i pantomimy, musimy uznać — zresztą z



Gizela Piotrowska — bohaterka filmu „Sprawa do załatwienia”.

żalem — że wstawka ta jest nieporozumieniem.

Prawie to samo można powiedzieć o wstawce wokalne. Śpiewają: Julian Sztatler i Maria Koterbska, grają: Jerzy Pietraszkiewicz i Irena Brodzińska — szarada trudna do rozwiązania, zwłaszcza że ta niczym z filmem nie związana scena trwa półtorej minuty!

„ZNACIE TĘ HISTORIĘ — NO TO POSŁUCHAJCIE”

Pozostaje kwestia komentarza. Nie jest to łatwy orzech do zgryzienia, bo komentarz nie od dzisiaj zdobył sobie prawo obywatelstwa w filmie fabularnym i bywa najszybciej zastawiany. Ale nie można tego powiedzieć o „Sprawie do załatwienia”, w której (poza wstępem) komentarz jest tak naturalny, że przypomina GORSZE krótkometrażówki, których autorzy zaopatrzyli fotografie maszerujących owiec komentarzem „idą owce”. Ta sugestia jest tym głębsza, że komentarz czyta Łapicki — komentator świetny, ale... bardzo, bardzo znany. Przez co —

mimo woli — nasuwa się myśl, że widzimy dalszy ciąg PKF. W niektórych kinach tak właśnie publiczność przyjmuje czołówkę filmu, w której napisy ukazują się dopiero po paru zdaniach komentarza.

Komentator nie ogranicza się do podkreślenia tego, co widzimy, ale z pasją pana Jowialskiego mówi: „Widzieliście tego typu, no to wam opowiem, co to za okropny człowiek i na dodatek pogrozę mu, że z nim to też „sprawa do załatwienia”. Komentator prowadzi bohaterów za rączkę, zwraca im nawet uwagę na budującą się Warszawę, co każdy widzi na ekranie własnymi oczyma.

Rys. Charlie

Komentarz taki dowodzi, że realizatorzy filmu uważają swoich widzów za tak tępych, że nie zrozumią najprostszymi obrazami, jakie mają przed oczyma; czy jest to niedocenianie, czy raczej — lekceważenie publiczności?

Ma więc „Sprawa do załatwienia” niejedno niedociągnięcie, które świadczy o tym, że tak autorzy scenariusza (obok wymienionej Grodzkiej: Godawa i Stepien), jak i realizatorzy poszli nową, nieutartą drogą. Wykorzystali talent Dymszy w kilku przynajmniej skeczach, słusznie wybraли Warszawę, przez wszystkich kochaną i budowaną, jako tło wydarzeń. Wyróżniają się operatorzy A. Forbert i B. Lambach fotografią sprawną, ruchliwą, dobrą w oświetleniu, zgodną z nastrojem filmu, ale...

Ale w filmie tym, w którym wtyka się tyle słusznych „spraw do załatwienia”, nie ma nawet próby dania widzowi nowej, dobrej komedii. Zagadnienie polskiej komedii filmowej ugrzęzło na udanym „Skarbie” i pozostaje jeszcze jedną „SPRAWĄ DO ZAŁATWIENIA”, o której jednak nie wspominał komentator dyskretny w tym wypadku.

STEFAN KOZICKI

kariki

Z HISTORII FILMU

LEW TOŁSTOJ I KINO

NIEZWYKŁY gość zjawiał się w Jasnej Polanie w roku 1906 na uroczystym obchodzie osiemdziesięciolecia urodzin wielkiego pisarza. Pan w sportowym angielskim ubraniu ustawiał na statywie ciężką filmową kamerę dla dokonania zdjęć czcigodnego jubilat. W owych czasach kronika filmowa nie była jeszcze zjawiskiem popularnym w carskiej Rosji, a przedświaty operator, który zapragnął utrwalić na filmowej taśmie obraz Lwa Tołstoja, był pionierem kinematografii w imperium Mikołaja II. Zwał się ów pan A. O. Drankow i spełniał odpowiedzialną funkcję oficjalnego fotografa drugiej i trzeciej Dumi. W roku 1907 Drankow założył w St. Petersburgu pierwsze atelier filmowe, mieszczące się pod numerem osiemdziesiątym drugim na Newskim Prospekcie. „Na życzenie robimy zdjęcia filmowe osób, które do nas się zgłaszają” — zapowiadał pan Drankow w ogłoszeniach opublikowanych we wszystkich gazetach. „Widoki wsi i miast dla kinoteatrów” — czytamy w tym samym ogłoszeniu.

Lew Tołstoj zgodził się na pozowanie do zdjęć filmowych. Ukazały się one na ekranie, jak powiedzielibyśmy dziś, w „specjalnym wydaniu kroniki”, zatytułowanym „Dzień osiemdziesiątych urodzin hrabiego Lwa Tołstoja”. Drankow wraca jeszcze potem kilkakrotnie do Jasnej Polany i zdobywa cenny materiał filmowy, który posłużył mu do zrealizowania oddzielnego filmu „Życie hrabiego Tołstoja”, wyświetlanego bezpośrednio po śmierci twórcy „Anny Kareniny”. Ostatnie chwile życia genialnego pisarza udało się również zapisać na filmowej taśmie. Kiedy rozszedła się wiadomość, że Tołstoj leży ciężko chory na małej stacyjce Astapowo, ruchliwa rosyjska agencja francuskiej firmy „Bracia Pathe” wysłała natychmiast swego najlepszego operatora, Meyera, z następującymi instrukcjami: — „Fotografować stację. Starać się o to, by nazwa stacji była widoczna na pierwszym planie. Fotografować członków rodziny i znane osobistości oraz wagon kolejowy, w którym spł. Cały materiał wysłać natychmiast do Tulu dla dalszego transportu”. Francuski historyk Georges Sadoul pisze, że kiedy Meyer zjawił się w Astapowie, policja nie chciała mu pozwolić na robienie zdjęć. Dopiero inicjatywa dobranej wiedzianych w najwyższych sferach stolicy dyrektorów Pathe skłoniła ochrania do udzielenia niezbędnych zezwoleń. Wszystkie materiały ikonograficzne, zarówno Drankowa, jak Pathe i innych operatorów, weszły do interesującego filmu radzieckiego, reżyserii Estery Szub, „Rozja Cara Mikołaja II i Lew Tołstoj” zrealizowanego dla uczczenia setnej rocznicy urodzin pisarza.

Kontakty Lwa Tołstoja z kinem nie ograniczyły się do kroniki i zdjęć dokumentalnych. Już w roku 1900 jedna z rosyjskich wytwórni sięga do Tołstoja w poszukiwaniu tematów, przemierzając na ekran w wykonaniu meszkiewskich akte-

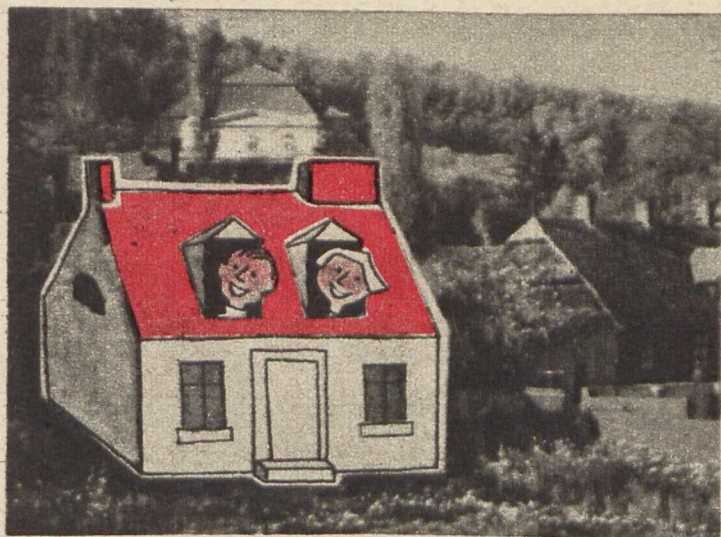
rów teatralnych szynkę „Władza ciemności”. Film składał się z siedmiu scen, a czas wyświetlania wynosił przeszło dziesięć minut. Rosyjska filia firmy „Bracia Pathe” przerabia w roku 1910 na film „Annę Kareninę”, jakoby „za zgodą pisarza”. Film składa się z dwóch części ma długości aż 350 metrów, to znaczy trochę więcej niż tygodnik Polskiej Kroniki Filmowej. Łatwo sobie wyobrazić, ile zostało z Tołstoja w tym telegraficznym skrócie wspaniałej powieści! Nieco dłuższe, bo liczące około 600 metrów, były filmowe wersje „Żywego trupa” i „Sonaty Kreutzerowskiej”. W tym ostatnim filmie wystąpił po raz pierwszy słynny rosyjski aktor filmowy Iwan Mozzuchin.

Nie ulega wątpliwości, że producenci filmowi przerabiali Tołstoja bez jego zgody. O wielu adaptacjach dokonanych jeszcze za jego życia genialny pisarz prawdopodobnie nawet nie wiedział. Prawie jednocześnie w roku 1908 pojawia się amerykańska i francuska wersja „Zmarłych i żywych”. Autorem wersji amerykańskiej jest stawiający wówczas swe pierwsze kroki znakomity reżyser David Wark Griffith...

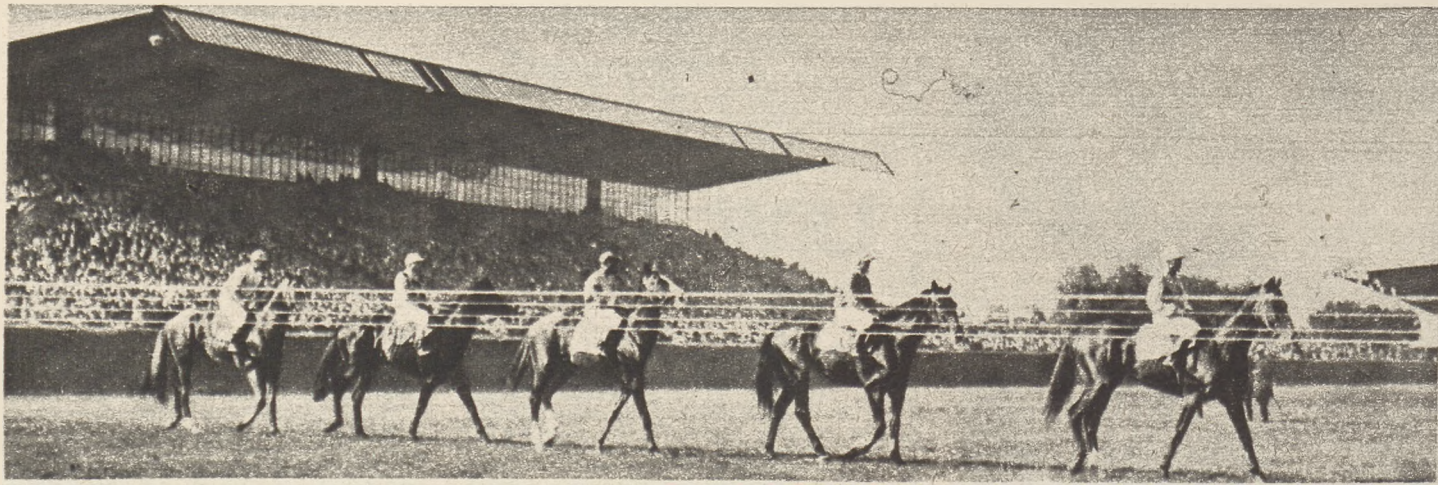
O oryginalne scenariusze prosił Tołstoja Drankow przy okazji zdjęć w Jasnej Polanie. Tołstoj interesował się żywo filmem i widział w nim wielką przyszłość, zdawał sobie jednak sprawę z ograniczeń niemej kinematografii na jej ówczesnym etapie. Kilkusettymetrowy dramat kinowy musiał być z konieczności karykaturą i dlatego Tołstoj uważał, że zadanie filmu polega przede wszystkim na robieniu zdjęć dokumentalnych. „Rosyjskie życie trzeba pokazywać takim, jakie ono jest w rzeczywistości, a nie gonąć za wymyślonymi tematami” — mówił gospodarz Jasnej Polany do Drankowa. Na pisanie oryginalnych scenariuszy przystał pod jednym warunkiem — do filmu napisze komentarz, który zostanie odczytany podczas projekcji. Była to jedyna, w praktyce zresztą niemalże niewykonalna, możliwość oczenia poziomu dzieła filmowego. Śmierć Tołstoja nie pozwoliła mu na zrealizowanie tego zamiaru.

Lew Tołstoj należy do najczęściej „ekranizowanych” pisarzy. Wiele jego dzieł doczekało się kilku, a nawet kilkunastu przeróbek. Nawet w Japonii adaptowano Tołstoja na film, a przeróbka „Żywego trupa”, dokonana w r. 1915 przez Eino Tanaka, miała przełomowe znaczenie dla rozwoju japońskiej sztuki filmowej. Zasadnicze jednak znaczenie twórczości Tołstoja dla filmu nie polega na sięganiu do jego dzieł w poszukiwaniu tematu, lecz na wpływie, jaki jego nieśmiertelne dzieła wywarły na twórców, pomagając im w doskonaleniu metod pracy i rzemiosła. Lew Tołstoj — jak pięknie pisze jeden z jego największych filmowych uczniów, Wsiewłod Pudowkin — dał reżyserom umiejętność patrzenia na ludzi oczyma artysty.

JERZY TOEPLITZ



Stale, systematycznie odkładali na książeczkę oszczędnościową PKO i dzięki temu mają teraz ten przytulny, jednorodzinny domek z ogródkiem.



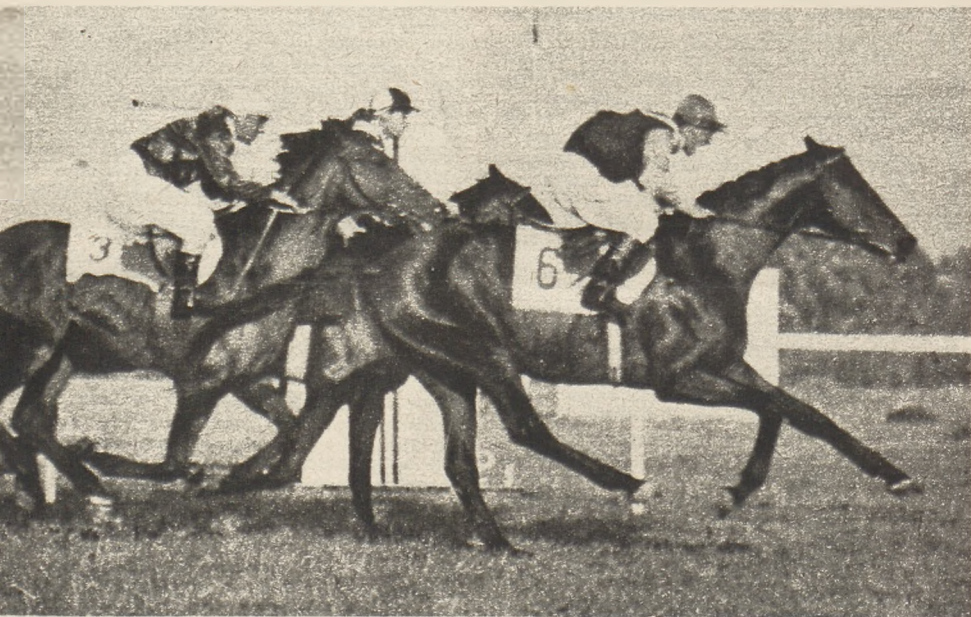
Start nie jest sprawą prostą; ogniste, ruchliwe zwierzęta nie potrafią ustawić się na wyznaczonych miejscach. Krążą więc na przestrzeni ograniczonej linami i dopiero wtedy, gdy utworzą równy szereg, starter podnosi liny. Rozpoczyna się gonitwa.

MEETING FAWORYTÓW

Zdjęcia: J. KOŚCIDOWSKI



Przez kilka niedziel tysiące warszawiaków obserwowały emocjonujące biegi, w których



Pierwsza gonitwa w pierwszym dniu Meetingu. Wystartowały konie radzieckie, polskie, czechosłowackie i rumuńskie. Najlepsza była „szóstka” — czeski „Fero”.

WYŚCIGI konne nazywane są w Anglii tradycyjnie „królewskim sportem”. Nie wiadomo jednak, czy w ostatnich czasach jakikolwiek król, nawet najbardziej podupadły, przyznałby się tak chętnie do powiązań z tym „sportem”: przejrzyjmy tylko gazety krajów kapitalistycznych z ostatnich lat. Każdy rok przynosił jakiś wielki skandal na torze, a afery, która wydarzyła się w sierpniu br. na angielskim stadionie Bath, pobila chyba wszelkie rekordy wyścigowego szwindlu. Wystartowała tam mianowicie mizerna szkap „Francasala” i niespodziewanie wygrała gonitwę w bardzo silnej konkurencji. W Londynie kilku bookmacherów popadło w ruinę: musieli wypłacić kolosalne sumy osobnikowi nazwiskiem Williams i kilku innym dżentelmenom z jego szajki. Jak się później okazało, zamiast mało obiecującego „Francasala” w biegu tym wziął udział francuski koń najwyższej klasy „Santa Amaro”, bliźniaczko do tamtego podobny. Zamiana koni przyniosła oszustom miliony. Na takie manowce zszedł ten „królewski sport” w państwach, gdzie jedynym prawdziwym królem jest pieniądz.

Niemile pozostałości wyścigowych krętałów pokutowały jeszcze przez pewien czas także i u nas. Ale stopniowo atmosfera się oczyściła. Nawet w tak specyficznym środowisku, jakie tworzą „koniarze”, uzdrowiono stosunki, przywrócono wyścigom konnym, skwapliwie przed wojną niweczony, charakter sportu.

Wyszło to na dobre nie tylko ludziom, ale i koniom. Kto obserwował tegoroczny Międzynarodowy Meeting Wyścigów Konnych na warszawskim torze, ten naocznie przekonał się, jakie znakomite rezultaty daje oparta na naukowych podstawach hodowla koni w ZSRR i krajach demokracji ludowej. A każdą gonitwę poprzedzają gorące dyskusje między hodowcami, trenerami i dżokejami Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier i Polski.

• I — powiedzmy to jasno — właśnie te sprawy były zasadniczym celem Meetingu. Chodziło przecież o wymianę doświadczeń. Równocześnie zaś tysiące warszawiaków przez kilka niedziel miały okazję obserwowania niezwykle emocjonujących gonitw, w których mierzyły się ze sobą najlepsze konie pięciu państw.



Podczas uroczystego otwarcia Międzynarodowego Meetingu Wyścigów Konnych nastąpiła prezentacja ekip. Najliczniejsza była ekipa dżokej polskich (na zdjęciu). Nie tylko koń decyduje o zwycięstwie — mawiają fachowcy — ale także jeździec i trener.



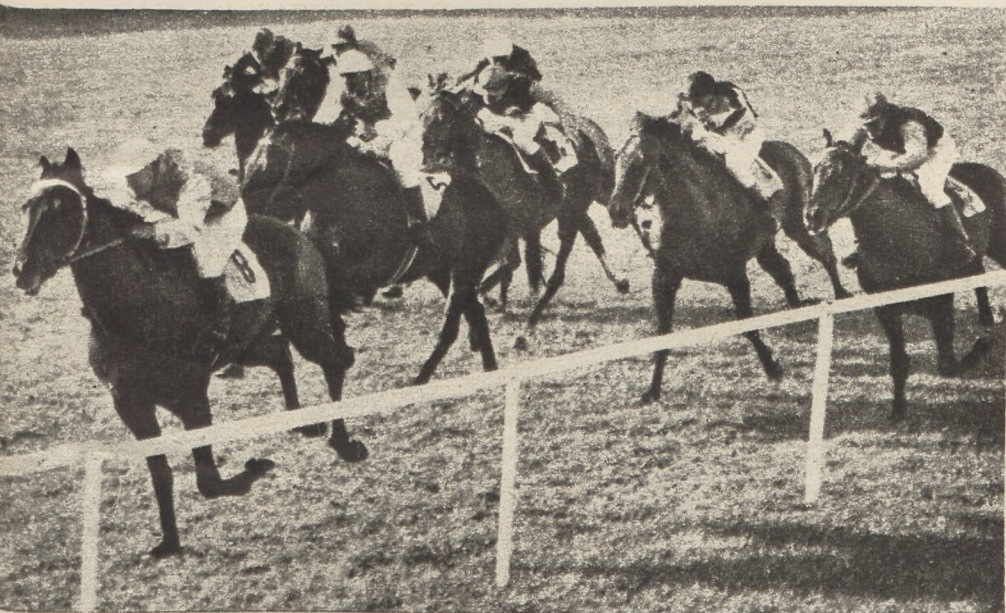
Uroczysta chwila: radziecki „Bogaty” otrzymuje zasłużoną szarfę zwycięzcy.



brały udział najlepsze konie Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej.



Finisz. Potężny okrzyk widowni towarzyszy ostatnim sekundom wyścigu. Prowadzi polski „Dorpat” przed radzieckim „Charkowem”... Czy dojdą w takim porządku, czy się coś jeszcze zmieni? Nie. Dobiegli bez zmian. „Dorpat” wygrał nagrodę „Moskwy”.



Polski koń wygrał nagrodę „Moskwy”, a jakby w rewanżu nagrodę „Warszawy” zdobywa radziecki „Bogatyra”. Widzimy go właśnie podczas wspaniałego finiszu.



Przed gonitwą można obejrzeć wszystkich uczestników. Który zwycięży? Trudno jest stawiać jakiegokolwiek prognozy przy tak wyrównanej stawce faworytów.



Dekoracja szarfą zwycięzcy wprowadza „Bogatyra” w lekkie zdenerwowanie. Dżokej musi zużyć sporo wysiłku, aby utrzymać w ryzach swego dzielnego pupila...



LZS-owcy wykazali wiele hartu w 3-etapowym wyścigu 100 km w Szczecińskim. Zwyciężył Sartowski z Liniewa



Reprezentacja woj. gdańskiego przybyła na Spartakiadę najlepiej przygotowana. W grach zespołowych LZS-owcy z Wybrzeża zdobyli 3 tytuły mistrzowskie. Na fot. mistrzowski zespół koszykarek LZS Lipusz, Osowa i Orneta.

SPARTAKIADA MŁODEJ WSI



Najlepsza sportsmenka wsi, Krogulecka — rekordzistka LZS w pchnięciu kulą, skoku w dal i biegu na 100 m.

Borcherdówna ma 17 lat, a jest już najlepszą łuczniczką wsi. Na Spartakiadzie osiągnęła doskonałe wyniki.



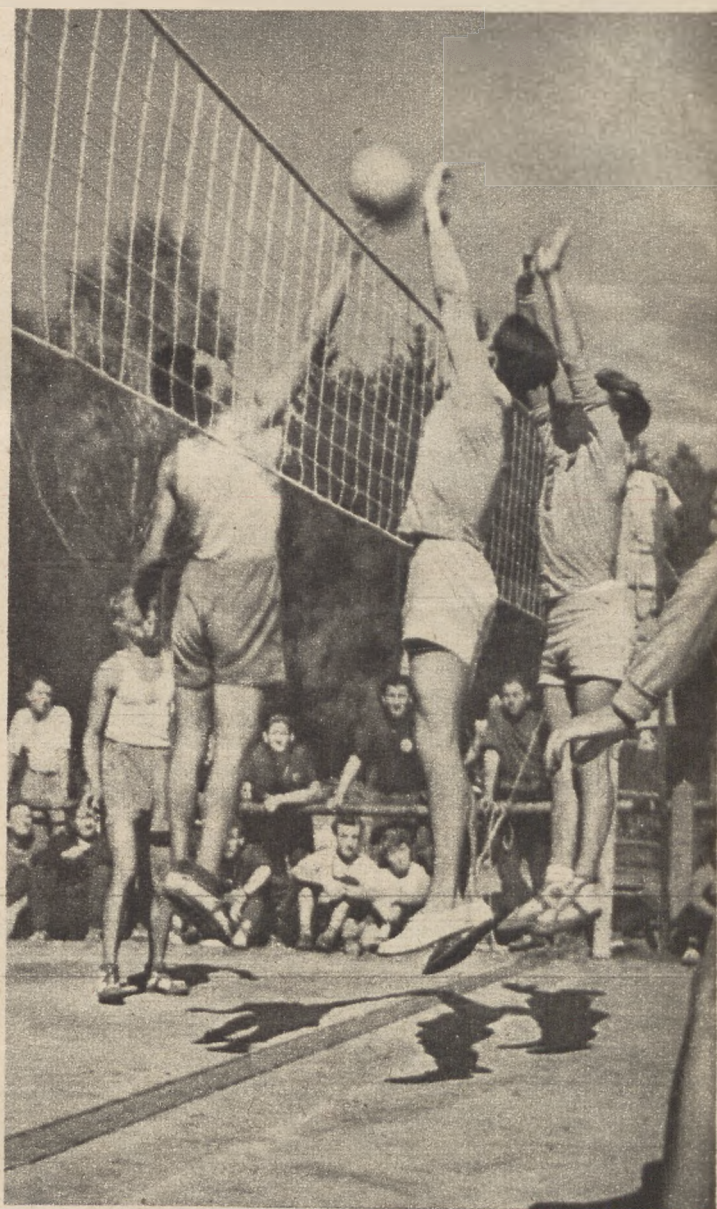
400 TYSIĘCY zdrowych, pełnych życia chłopców i dziewcząt zrzeszają już Ludowe Zespoły Sportowe. Ci wiejscy sportowcy od wiosny walczyli na tysiącach boisk czynnych przy gromadach indywidualnych, przy spółdzielniach produkcyjnych, Państwowych Ośrodkach Maszynowych i PGR — walczyli o prawo uczestnictwa w swej największej imprezie — Centralnej Spartakiadzie. I oto w Szczecinie spotkało się 1600 najlepszych sportowców wsi, by stoczyć ostateczny bój o zaszczytne tytuły mistrzowskie. Już sama liczba uczestników ma wielką wymowę, jest ona bowiem prawie trzykrotnie wyższa niż w ubiegłym roku. Walka na Spartakiadzie była wyrównana i losy zwycięstwa ważyły się do ostatniej chwili. Nowe rekordy wsi padały każdego dnia. Zacięty bój przyniósł w ogólnej punktacji zwycięstwo sportowcom woj. gdańskiego, przed Poznaniem, Szczecinem i Stalinogrodem.

Sportowe zmagania na Spartakiadzie Centralnej LZS były nie tylko przeglądem wzrostu fizycznej naszej młodzieży wiejskiej. Stanowiły one dowód troski państwa ludowego o rozwój kulturalny wsi, którego jednym z elementów jest rozwój sportu.

O wzroście zainteresowania sportem na wsi najlepiej mówi fakt, że jeszcze w ubiegłym roku na mistrzostwach wsi polskiej LZS-owcy walczyli tylko w dwóch dyscyplinach, a dziś organizatorzy mogli urządzić rozgrywki w 9 dyscyplinach. Jeszcze w ubiegłym roku dziewczęta z woj. białostockiego wstydziły się wychodzić na boisko w kostiumach sportowych, stroniły od LZS. W tym roku dziewczęta z tej samej Białostoczyzny zajęły drugie miejsce w lekkoatletyce.

Na spartakiadę przybyło wielu LZS-owców, którzy są już dziś spółdzielcami, którzy — jak na przykład czołowy kolarz Franciszek Kasztelan z Osowej Sieni w pow. wschowskim — przyczynili się do założenia kolektywnego gospodarstwa w swej wsi i przodują nie tylko na boisku, ale i w pracy. Tacy właśnie LZS-owcy stanowią przykład dla sportowców wiejskich.

Tekst i zdjęcia: ZBIGNIEW JASKULSKI



Ścięcie, blok i jeszcze jeden punkt dla drużyny stalinogrodzkiej — wicemistrza Centralnej Spartakiady.

Woj. warszawskie reprezentował w łucznictwie LZS Barcząca. Jak widzimy, strzały Szymankiewicza są celne



Notatnik zapaleńca

BAJKA O ZŁYM SMOKU

Jak każda prawie dziedzina życia, sport ma też swoje złe bajki, szkodliwe legendy, fałszywe tradycje. Jak w każdej prawie dziedzinie życia, tak i tu złe bajki były tworzone przez złych ludzi i miały służyć ich własnym złym celom.

Zli ludzie operują najczęściej mitami o rasie. Kiedy Japończyk Tajima uzyskał na Olimpiadzie berlińskiej 16 metrów w trójskoku, od razu znaleźli się „znawcy”, którzy podnieśli krzyk, że trójskok odpowiada specjalnie Japończykom, bo oni już mają „taką” budowę. Jaką — żaden z nich bliżej nie określił. Po wojnie Brazylijczyk Da Silva powtórzył, a nawet przekroczył wynik Tajimy. „Znawcy” stropili się trochę, ale nie na długo: Da Silva jest Murzynem i też ma „specjalną” budowę. Los uważył się jednak na rasistów, bo oto Rosjanin Leonid Szerbakow, mężczyzna o dość krepłej budowie, zaczął skakać jak kangur i kolejno uzyskiwał 15,70 — 15,98 — 16,12 — 16,23. Ten ostatni wynik to nowy rekord świata. Człowiek radziecki obalił jeszcze jeden głupi mit.

Najwięcej złych legend skupiło się wokół zwycięstw Murzynów w biegach krótkich. Mówiono o ich fenomenalnym uzdolnieniu w tych konkurencjach, które mieli zawdzięczać również jakiejś tajemniczej budowie ciała. Równocześnie stwierdzono, że Murzyni nie nadają się do takich konkurencji technicznych, jak kula, oszczep czy bieg przez płotki. Wszystkie te baśnie miały swój prymitywny rodowód. W kuli i płotkach biali Amerykanie osiągnęli tak dobre wyniki, że dawali sobie radę i bez Murzynów. W oszczepie zaś supremacja Finów wydawała się i tak nie do przezwyciężenia. Tak więc zła legenda triumfowała, Murzyni zmuszeni byli skupić uwagę na biegach krótkich, a do konkurencji technicznych (z wyjątkiem skoku wzwyż) byli po prostu niedopuszczani. Taka konkurencja jak tyczka po dziś dzień znajduje się za „kolorową barierą”.

Tuż po ostatniej wojnie wszystkie te legendy wzięły niespodziewanie, a zasłużenie, w łeb. Najpierw jeden z trenerów kalifornijskich oświadczył, że Murzyni są całkiem normalnymi ludźmi, tylko po prostu trenują zawzięciej i pilniej niż rozkapryszony białe gwiazdy. Następnie Murzyni — Dillard w płotkach, Fonville w kuli, a Young w oszczepie — obalili twierdzenie, jakoby „kolorowi” byli tylko sprinterami. Wreszcie Rosjanin Suchariw uzyskał w biegu na 100 m „murzynski” rezultat 10,3 sek. Jeśli dodamy do tego, że jeszcze przed wojną Holender Osendarp i kilku biegaczy niemieckich uzyskało taki sam wynik, jeśli wspomnimy, że „biały” Mel Patton uzyskał w biegu na 200 m rezultat lepszy od fenomenalnego Owensa, rozumiemy, że żyjemy w epoce, w której złe legendy czują się coraz gorzej — i te duże, i te najmniejsze.

Jedną z najgłupszych bajek dotyczyła polskiego pływania. Rzeczywiście w pływaniu polskim przed wojną panował niepokojący zastój, rekordom rosły brody, wyniki były takie, że reprezentacja kobieca Holandii mogła się pokusić o zwycięstwo w meczu z reprezentacją męską Polski. Wszystko to usprawiedliwiano wygodnym fatalizmem rasowym: „nie nadajemy się do pływania”. Rzeczywiście przyczyny były mniej tajemnicze. Mało pływało, mało trenerów, ekskluzywność zrzeszeń burżuazyjnych, wysokie opłaty za pływalnię. Rezultat: brak masowości. Wystarczyło nam po wojnie otworzyć pływalnię dla wszystkich chętnych, a pojawiła się masowość. Dodano się do tego pracę sumiennych trenerów i opiekę nad kadrą narodową — i pojawiły się rekordy.

Pływanie polskie odrabia lata zaniedbań w sposób imponujący. Rekordy zaczęły padać w roku 1949. Urywano całe sekundy, a w wypadku Gremłowskiego — całe minuty! Oto miara tego, jak bardzo byliśmy zaniedbani. Okazało się, że „nadajemy się do pływania” niegorzej niż do boksu. Na ostatnich mistrzostwach Polski w Warszawie Marek Petrusiewicz znokautował ostatecznie złego smoka zwątpienia. Jego rezultat na 100 m „żabką” jest już tylko o 1,6 sek. gorszy od rekordu świata Minaszkina. Bliższe rekordy świata są nowe rekordy Klemińskiej (14 lat ma dziewczyna!) i Stelmazyska. Po raz pierwszy nasi zawodnicy zbliżyli się do czołówek pływackiej świata (w której, nawiasem mówiąc, wedle autorów legend mieli być wyłącznie Amerykanie i Japończycy, a znaleźli się Europejczycy z Węgry i pływakami radzieckimi na czele).

Skoro już mowa o minionym sezonie pływackim, to powiedzmy od siebie: chcemy więcej! Od pewnego czasu nie robimy postępów Dzikówna i Werakso, Gremłowski i Tolkaczewski (200 m dow.). A przecież wobec ciągłego rozwoju sportu u naszych przyjaciół jasne jest, że kto stoi w miejscu — ten się cofa. Chciałoby się również, żeby Gremłowski znalazł nareszcie partnera na swoim dystansie (1500 m), żeby do pojedynków Werakso i Dzikówny wtrąciła się „ta trzecia”. Wszystko to jest możliwe. Utraciliśmy złego smoka!

SWIAT

o tym wie!

„WZGLĘDY GOSPODARCZE”



Spokojną miejscowość Clausthal-Zellerfeld okupowały przed kilku dniami oddziały tzw. Grenzschutzu, adenauerowskiej formacji neohitlerowskiego Wehrmachtu. Dowódcą nowej jednostki jest pułkownik Willi Langkeit, w czasie wojny — w randze generał-majora — komendant dywizji Kurmark, która „wstąpiła się” okrucieństwami na terenie Ukrainy. Za swoje „zasługi” gen. Langkeit odznaczony został liściami dębowymi do krzyża rycerskiego oraz najwyższym wojskowym odznaczeniem faszystowskiej Rumunii — orderem „Michała Dzielnego”.

Jak oświadczył burmistrz miasteczka, dr Schmiedebreg, główną przyczyną utworzenia gar-

nizonu w Clausthal-Zellerfeld nie była obawa przed „napaścią ze Wschodu” (miasteczko oddalone jest o 19 km od granicy NRD), ale „względy gospodarcze”. Miejscowi radni, z ramienia CDU i SPD, od dawna starali się o swój „przydział” żołnierzy. Chodziło im przy tym zarówno o 120 marek (tyle wynosi miesięczny żołd żołnierzy Grenzschutzu), które, ich zdaniem, „wzmocnią ekonomicznie handel” w miasteczku, jak i o „towarzystwo dla miejscowych dziewcząt i wzór cnót do naśladowania dla chłop-ców”.

Prośba cnotliwych radnych została spełniona. Związka że dowódca garnizonu jest najlepszym wzorem hitlerowskich cnot



„Towarzystwo dla dziewcząt” — i...



„wzór cnót dla chłop-ców”

ŁADUNEK MR. DULLESA

Półtora roku temu prasa zachodnia pełna była opisów zatonięcia u wybrzeży Francji amerykańskiego statku „Flying Enterprise”. Specjalnie podkreślana była zwłaszcza „bohaterska” postawa dowódcy statku, kpt. Carlsena, który do ostatniej chwili nie opuszczał kapitańskiego mostku, pilnując cennego ładunku, jaki wioził statek. A ładunek ten — jak głosił urzędowy dokument — składał się z... kawy oraz maszyn do pisania.

Już wówczas prasa demokratyczna donosiła o tajemniczym ładunku w ładowniach „Flying Enterprise”, ładunku, którego ujawnienia tak bardzo bały się amerykańskie władze wojskowe. Mimo bowiem, iż uratowanie statku było zupełnie możliwe, robiono wszystko, aby... „Flying Enterprise” zatonął. Lepsze to bowiem było aniżeli ujawnienie prawdy o ładunku, którego nadawcą był amerykański wywiad.

Na dnie morza spoczęła — zdawałoby się na zawsze — tajemnica „Flying Enterprise”. Kapitan Carlsen — za milczenie — dostał order. Firma nowojorska „Isbrandtsen Steamship Company”, do której należał statek, otrzymała niezłą sumkę z tytułu ubezpieczenia. Wszyscy byli zadowoleni, tym bardziej, iż wydawało się, że sprawa jest ostatecznie zakończona.

Przeoczono tylko drobny fakt, iż po wypłaceniu premii firma ubezpieczeniowa nabiera prawa do wraku zatopionego statku. Zgodnie z tym prawem londyńskie towarzystwo „Webster and Co” zaangażowało włoski statek ratowniczy „Rostro” celem przeprowadzenia poszukiwań w zatopionym statku. I oto bomba pękła. Po rozpruciu pierwszych worków z kawą okazało się,

Tylko dwa dzienniki francuskie zamieściły obszerniejsze relacje o dosyć „niecodziennym” balu, który odbył się ostatnio w Biarritz. Reszta prasy francuskiej, nawet ta najbardziej żądna sensacji, wolała zachować milczenie. A przecież o balu tym warto napisać słów kilka.

Organizatorem oraz ujętym i gościnnym gospodarzem balu był multimilioner południowo-amerykański, markiz de Cuevas. Gośćmi, którzy w liczbie około 2.000 zjechali z dwóch kontynentów, byli przedstawiciele arystokracji, świata przemysłowego i finansowego, gwiazdzy i gwiazdy filmowe. „Atrakcją” balu byli dosyć liczni obecnie (i bezrobotni) eks-królowie różnych krajów europejskich.

Jeśli chodzi o trochę cyfr ilustrujących skład obecnych, to prasa podaje, że przybyło na bal 50 książąt, 35 markizów, 95 hrabiów, 15 baronów (na wymarcu) i... 60 detektywów wysłanych przez prefekta policji w Biarritz zaniepokojonego o spokój „ich wysokości”.

Markiz de Cuevas, jak się okazuje, jest wielbicielem historii. Impreza, którą zorganizował, nosiła nazwę „balu na dworze króla Ludwika XIV”. Wszystkich obecnych obowiązywały kostiumy z XVIII wieku albo takie, jakie widzimy na fotografii, gdzie markiz de Cuevas składa gratulację jednej z uczestniczek „wesolej zabawy” z powodu... pięknego kostiumu, który nie jest już w stylu Ludwika XIV.

Obecni na balu dzierżni-karze nie mogli narzekać na brak sensacji. Oto nad ranem eks-król Jugosławii wdał się, na wzór zwykłych śmiertelników, w bójkę z grandem hiszpańskim. („Nie rób grandzie grandy” — powiedziała Wiech). To nieprzewidziane wydarzenie w niczym nie przypominało rycerskich pojedynków z czasów Ludwika XIV.

Ku zgorszeniu zebranych na balu arystokratów musieli interwenio-



wać obecni na sali agencji policji (również w strojach z czasów Ludwika XIV, wypożyczonych specjalnie na ten cel w Operze Paryskiej). Trochę później musiano wezwać pogotowie do księżniczki Trubeckoj, która „raczyła” zastąpić z powodu przejedzenia i przejęcia.

Koszt balu wyniósł według obliczeń prasy francuskiej i włoskiej około 800.000 dolarów, z czego 200.000 dolarów wyniosły wydatki organizatora i gospodarza, markiza de Cuevas. Na resztę tej „skromnej” sumy złożyły się wydatki uczestników balu. Suma ta wystarczyła na budowę 500 mieszkań dla bezdomnych, albo na zasiłek dla 10 tysięcy bezrobotnych, albo wreszcie na uruchomienie fabryki mogącej zatrudnić 500 robotników.

Są to cyfry podane przez postępową prasę francuską. Czy można się dziwić, że prasa burżuazyjna, która normalnie lubuje się w opisach tego rodzaju imprez, tym razem wolała pominać milczeniem tę „monarszą” orgię.

Na zakończenie jeszcze jedna historyjka. W przeddzień balu mury Biarritz pokryły się napisami w rodzaju „Pamiętajcie o rewolucji”, „Precz z arystokratami” itp. Markiz de Cuevas, poinformowany o tych napisach, miał powiedzieć: „O jaką arystokrację im chodzi? Przecież nie o arystokrację dolarową. Rewolucja przeciwko dolarowi jeszcze się nie rozpoczęła”.

Nie wszyscy podzielają w tej sprawie zdanie pa-



Na specjalnie zainstalowanym piecu w Banku Belgijskim suszą się „kawowe” dolary.

TEATR ŚWIAT

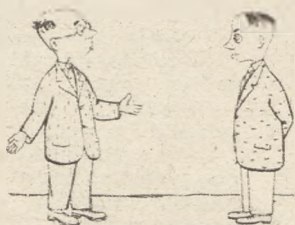
Reżyseria: JAN SZELĄG
Bokserzy i kostiumy: BA-BA

Józef Światalski KIEROWNIK ZNA SWOICH LUDZI

Osoby: Kierownik, Instruktor
związkowy.

INSTRUKTOR: Słuchajcie, czy u was
pracuje niejaki Markowski?

KIEROWNIK: Markowski? Czy pra-
cuje? Co, może wam się zdaje, że
ja nie znam swoich ludzi? Mar-



kowskiego znam doskonale! To
przodownik pracy. Wyrabia
dwieście procent normy!

INSTRUKTOR: To wszystko?

KIEROWNIK: Co, wszystko? Dwie-
ście procent — to mało? A wy du-
żo znacie takich, co wyrabiają
dwieście procent nowej normy?

INSTRUKTOR: Ale ja się pytam, czy
to jest wszystko, co wy wiecie o
Markowskim?

KIEROWNIK: O Markowskim? Co
wiem? Jak to, co? Przecież mówię
wyrabia. Widzicie, jak ja znam
swoich przodujących ludzi.

INSTRUKTOR: A Kowalski, Jan Ko-
walski, jest u was taki?

KIEROWNIK (śmieje się chytrze):
Wy mnie, towarzyszu instrukto-
rze, nie bierzcie pod bajer. Już
wam powiedziałem: wszystkich
swoich ludzi znam na wylot, co do
jednego. Obudzicie mnie o dwu-
nastej w nocy, to wam powiem:
Jan Kowalski, tokarz, wyrabia
180 procent normy.

INSTRUKTOR: I co więcej?

KIEROWNIK: Co więcej? A coż by-
cie chcieli? 180 procent to nie by-
le co.

INSTRUKTOR: Ale o Kowalskim co
więcej wiecie?

KIEROWNIK: Co wiem? Wszystko
wiem. 180 procent wyrabia. Przo-
downik pracy.

INSTRUKTOR: No, a Skalnika, Win-
centego Skalnika, znacie? Wiecie
o nim coś?

KIEROWNIK (ze szczerym oburze-
niem): Towarzyszu instruktorze!
Przecież wam wytłumaczyłem, że
ludzi tych znam na wylot, jak sie-
bie samego. Taki Skalnik, na
przykład. Frezer, przodownik pra-
cy. Wykonuje 160 procent normy.
Wystarczy?

INSTRUKTOR (wzdycha): Na razie
tak. Słuchajcie, a czy wiecie, że u
was jest jeden taki, który z dużą
rodziną mieszka w jednym poko-
iku i od dwóch lat na próżno stara
się o mieszkanie? Słyszeliście o
nim?

KIEROWNIK: Z rodziną? W jednym
pokoju? Nie słyszałem.

INSTRUKTOR: To Markowski.

KIEROWNIK: Markowski? Dwieście
procent normy?

INSTRUKTOR: Ten sam. A wiecie,
że u was pracuje taki przodownik
pracy, któremu jakiś chuligan za-
brał ogródek działkowy, a on od
roku nie może dobić się sprawied-
liwości? Co? Co wy na to?

KIEROWNIK: Mnie nic nie wiadomo
o tym człowieku...

INSTRUKTOR: Nie? To dziwne.
Przed chwilą twierdziście, że
wam wszystko o nim wiadomo. To
nikt inny, tylko Kowalski

KIEROWNIK: Kowalski? 180 pro-
cent normy?

MARKOWSKI 200%	KOWALSKI 180%	SKALNIK 160%
-------------------	------------------	-----------------



INSTRUKTOR: Właśnie, a o takim,
co mu żona choruje dwa lata i
męczy się biedak bez pomocy, sły-
szeliście?

KIEROWNIK: Żona? Bez pomocy?
Kto by to mógł być?

INSTRUKTOR (złośliwie): Skalnik,
160 procent normy. Czy będziecie
jeszcze upierać się przy tym, że
dobrze znacie swoich ludzi?

KIEROWNIK (zaperzony i zły nie na
żarty): Jak to? Pewnie, że znam.
O dwunastej w nocy obudzicie
mnie to powiem wam: Markow-
ski — dwieście procent normy,
Kowalski — 180 procent normy,
Skalnik — 160 procent. Całą listę
przodowników pracy znam na pa-
mięć. I czego wy jeszcze chcecie
ode mnie?

KURTYNA

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU FESTIWALOWEGO

Na pewno niejedną z Czytelników, gdy rzucił okiem na nasz
Konkurs Festiwalowy w Nr 32, pomyślał: przecież to szalenie
łatwe! W praktyce wyglądało jednak inaczej.

Otrzymałmy w terminie ogółem 4.257 odpowiedzi, a w tej
liczbie rozwiązań bezbłędnych znalazło się tylko 1.204, co stan-
owi 28,3% ogólnej ilości odpowiedzi. Autorów ponad 3 tysiące
błędnych rozwiązań usprawiedliwia częściowo fakt, że
ilość pomyłek w ich rozwiązaniach była na ogół mała i prze-
ważnie ograniczała się do dwóch (jednej pomyłki — jak wy-
nika z układu konkursu — nie można było zrobić).

A oto prawidłowe rozwiązanie Konkursu:

Albania Nr 6
Anglia Nr 5
Chiny Nr 11
Iran Nr 1
Korea Nr 12
Madagaskar Nr 7
Meksyk Nr 8
Polska Nr 2
Rumunia Nr 3
Ukraińska SRR Nr 4
Uzbekia SRR Nr 9
Węgry Nr 10

Nagrody w postaci wydawnictw albumowych wylosowali
następujący Czytelnicy:

1. Beldzik Robert — Chorzów, 2. Garlicka Danuta — Sanok,
3. Kłosa Ewa — Mińsk Mazowiecki, 4. Kobryn Tomasz — Wie-
liczka, 5. Mamcarz Barbara — Zakopane, 6. Morawska Alicja
— Tomaszów Maz., 7. Próchniak Jerzy — Lublin, 8. Zając Jan
— Wojnicz, 9. Zelen Ryszard — Gdańsk, 10. Zmigrodzki Józef
— Lublin.

A oto lista 50 Czytelników, którzy wylosowali nagrody książ-
kowe:

1. Białkiewicz Stanisław — Włoszczowa, 2. Brzezińska Jani-
na — Ciechanów, 3. Brzóska Ludwik — Ustka, 4. Byrski Wła-
dysław — Drawsko Pom., 5. Cisek Elżbieta — Kraków, 6. Fe-
chner Andrzej — Warszawa, 7. Fedorenko Helena — Jurowce,
8. Grienssen — Upsala (Szwecja), 9. Jarek Józef — Skarżyska
Kam., 10. Kiryluk T. — Karczew, 11. Kilch Zofia — Wieliczka,
12. Kowach Stefan — Zakopane, 13. Kowalska Janina — Leszno
Wlkp., 14. Kretz Stefan — Warszawa, 15. Kubicki Stefan —
Krzepice, 16. Kucharski Maks. — Chełm Lub., 17. Kudzińska
Stanisława — Kraków, 18. Laskowska Magdalena — Warszawa,
19. Lehnert Halina — Gniezno, 20. Marchwiński Jan — Wal-
brzych, 21. Marcinkiewicz Danuta — Gliżycko, 22. Marek Józef
— Nowa Ruda, 23. Melfi Diego — Gliwice, 24. Nowacka Ma-
ria — Białowieża, 25. Okuniewski Antoni — Koronowo, 26. Ose-
kowski Józef — Bielsko-Biała, 27. Pawłowski Jerzy — Czarne,
28. Płocewicz J. — Koło, 29. Radło Wojtek i Leszek — War-
szawa, 30. Rajbas Zenon — Łowicz, 31. Raznowiecki L. — War-
szawa, 32. Romanowska Janina — Nowy Sącz, 33. Semonowicz
J. — Swinoujście, 34. Sielska Janina — Rąska, 35. Siwek Ed-
mund — Kąty Wrocław., 36. Siwek Irena — Przemyśl, 37. Skrzy-
mowski Józef — Radzyń, 38. Skwara Jerzy — Ruda Śl., 39. So-
snowski Zbigniew — Będzin, 40. Szajca Rozalia — Opolo, 41.
Szturm Rita — Wrocław, 42. Taranowski Michał — Bielsko-
Biała, 43. Tonder E. — Bolesławiec, 44. Uchwat Barbara —
Przemyśl, 45. Ulko Józefa — Sokołów Podl., 46. Utech Euge-
nius — Łódź, 47. Warno Adolf — Bystra, 48. Wietrzyna Han-
na — Stalino, 49. Wojda Tadeusz — Kraków, 50. Zieliński
Andrzej — Radom.

NOWE KSIĄŻKI

Nakładem „Książki i Wie-
dzy” ukazał się ostatnio zbiór
dokumentów i materiałów
zatyłowany „KPP w obro-
nie niepodległości Polski”.

Jest on ilustracją stanowi-
ską KPP w sprawie najży-
wniejszych interesów naro-
du, pokazuje, jak KPP od
pierwszej chwili swego ist-
nienia broniła interesów oj-
czyzny. Zbiór dzieli się na
sześć części, z których każda
obejmuje pewien okres hi-
storyczny.

W pierwszej części zbioru,
obejmującej okres formo-
wania się burżuazyjnego pań-
stwa polskiego, okres najaz-
du polskiej reakcji na Kraj
Rad, mamy szereg doku-
mentów i materiałów świad-
czących o tym, jak komunis-
ci polscy wykazywali masom
pracującym antyludowy i
kontrewolucyjny charakter
burżuazyjnego państwa pol-
skiego, jego zależność od im-
perialistycznych mocarstw
Zachodu.

Druga część zbioru zawiera
materiały i dokumenty II
Zjazdu i IV Konferencji Ko-
munistycznej Partii Polski,
stanowiących ważne etapy

przechodzenia KPP na po-
zycje leninowskie.

Do trzeciej części zbioru
weszły materiały charaktery-
zujące tło i istotę faszystow-
skiego przewrotu Piłsudskie-
go oraz rolę Piłsudskiego nie
tylko jako wroga polskich
mas pracujących, ale i jako
zdrajcy interesów narodu.

Czwarta część zawiera ma-
teriały charakteryzujące wal-
kę KPP przeciw hanieblnej
wyprowadzie bogactw Polski
obcemu kapitałowi.

Ostatnie dwie części zbioru
zawierają dokumenty z okre-
su 1934—1938, omawiające rolę
KPP jako hegemonu wal-
ki polskich mas ludowych o
demokrację, niepodległość i
socjalizm, walki przeciwko
rządom obszarników i mag-
natów kartelowych, walkę
KPP o zorganizowanie anty-
faszystowskiego frontu ludo-
wego, o zerwanie zdradziec-
kiego paktu sanacji z Hitle-
rem, o sojusz z ZSRR, o po-
kój, o władzę ludową.

Materiały zawarte w całym
zbiorze, a w szczególności w
jego części ostatniej, pokazu-
ją, jak KPP całą swą rewolu-
cyjną działalnością, swym
patriotyzmem i internacjona-
lizmem przygotowała grunt
dla bohaterstwa walki PPR
o narodowe i społeczne wy-
zolenie polskich mas pracu-
jących, dla działalności PZPR
zwycięsko budującej socja-
lizm.

Drodzy Czytelnicy!

Zapalczymy fotografa, chcąc dostarczyć możliwie jak
najwięcej materiału fotograficznego z okazji „Dni
Poznania”, zrobił również zdjęcie b. zamku Wilhel-
ma II, które Czytelnicy mogli oglądać w 37 numerze
naszego tygodnika w dziale „Z kraju i ze świata”. Ale
nie wszyscy Czytelnicy pozostali obojętni wobec tego
zdjęcia. — Zwłaszcza mieszkańcy Poznania. Oto co pi-
sze m. in. w liście do redakcji mgr Modrzejewski:

„Trzeba stwierdzić, że b. zamek Wilhelma nie jest
żadnym zabytkiem i powodem do dumy poznania/ków.
Uważa się go słusznie za ponury symbol rozwińmo-
nionego imperializmu pruskiego z pierwszych lat
XX wieku...”

Ob. Modrzejewski w związku z tym samym tematem
wysuwa dalsze i słuszne zastrzeżenia:

„Dni Poznania” są ponadto organizowane przez nas
na okres całego września (notatka mówi już w czasie
przeszłym). Poznań szczyci się odbudową zabytków,
ale z okresu feudalnego (ratusz, domki mieszczkańskie,
baszty obronne, obiekty sakralne wysokiej klasy ar-
chitektonicznej). Szkoda, że nie mówi o tym korespon-
denta „Świata”, która w tym samym numerze wspo-
mina o... rozbiórce fortów pruskich na podstawie no-
tatk i fotografii z „Głosu Wielkopolskiego” sprzed 3
miesięcy. Temat wdzięczny do artykułu, bo w cytade-
li więziono Edwarda Dembowskiego, robił tu spisek
Stefański w r. 1846, a ostatecznie zwycięstwo właśnie
na stokach Cytadeli uzyskała Armia Radziecka i 1500
ochotników w r. 1945”.

W zakończeniu listu Ob. Modrzejewski prosi o
uzupełnienie w „Świecie” „tematyki poznańskiej”.
Możemy go przy okazji poinformować, że taki artykuł
zamówiliśmy już dawniej u prof. Wojciechowskiego.
Artykuł ten ukaże się w jednym z najbliższych nume-
rów naszego tygodnika.

W związku z uwagami Ob. Różyckiego, który ana-
lizował w liście do redakcji braki naszego tygodnika,
otrzymaliśmy szereg dalszych uwag, które rzucają
światło na zainteresowania, wymagania i potrzeby na-
szych Czytelników.

Przy okazji prosimy tych wszystkich, którzy intere-
sują się sportem, o nadesłanie uwag na temat tego
działu, który ma już zagwarantowane miejsce w
„Świecie”. Dotyczy to również artykułów popularno-
naukowych.

Postulat Ob. Lucjana Zurio z Krakowa, a także i in-
nych Czytelników, w sprawie zamieszczania krótkich
opowiadań — staramy się już w miarę możliwości
realizować.

Na życzenie Czytelników konkurs fotograficzny prze-
dłużamy jeszcze o miesiąc. O warunkach konkursu
przypomnimy osobno w dziale „Fotokorespondenci
donoszą”.

„ŚWIAT”

Pomnik Kilińskiego nie doczekał się do tej pory postumentu.

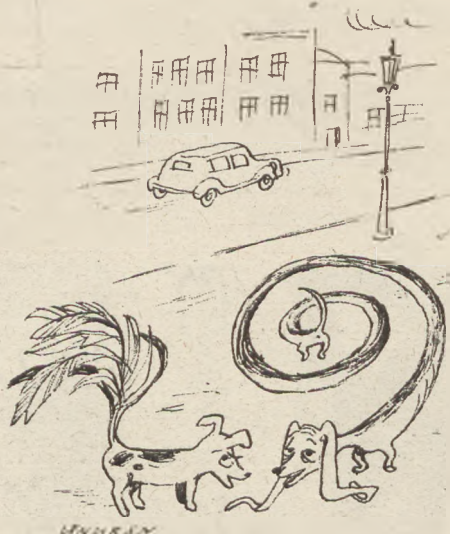


Kiliński: — Weźcie nareszcie te cegły na odbu-
dowę Warszawy.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 59. Telefony: Red.
Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Admini-
stracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata
miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80,
roczna zł 57,60.
Zakłady Wkleśtodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 591. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4B-18896
Podpisano do druku dnia 23.IX.1953 r.



— Czy nie uważasz, że ci rysownicy za dużo
sobie pozwalają?!

SZACHY

PARTIA NR 79

grana w międzynarodowym turnieju studenckim w Liverpool

Obrona nowoindyjska

Białe: D. Mardle (Anglia)
Czarne: D. Bronstein (ZSRR)

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 e7-e6 3. Sg1-f3 b7-b6 4. g2-g3 Gc8-b7 5. Gf1-g2 Gf8-e7 6. 0-0 7. b2-b3

Kontynuacja ta była często używana przez Alechina. Ma ona na celu szybkie wprowadzenie do gry wszystkich figur.

7... d7-d5 8. Sf3-e5 Hd8-c8 Alechin w meczu z dr Euwe w 1937 r. grał 8... c5, uzyskując równą mniej więcej partię. Posunięcie w tekście jest również dobre.

9. Hd1-c2

W partii Vidmar — Yanowsky, Groningen 1946, nastąpiło 9. c:d5 G:d5 10. G:d5 1. Gb2 c5 12. d:c5 G:c5 13. Sd2 Sc6 z równą grą.

9... c7-c5 10. c4:d5 Sf6:d5 11. Gc1-a3 Ge7-f6 12. Gg2-e4

Ruchem tym białe rozpoczynają manewr, który jednak ma „dziurę”.

12... h7-h6 13. Sb1-d2 Sb8-c6 14. Se5:c6 Gb7:c6 15. Ge4-h7+ Kg8-h8 16. e2-e4

Oto pointa całego manewru. Lecz czarne zgutowały niespodziankę.

16... Sd5-c3!! 17. Wa1-e1

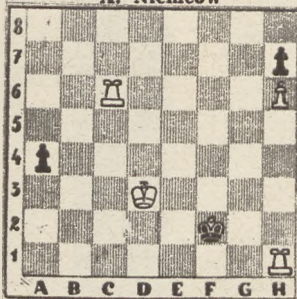
Nie można było grać 17. e5, bo 17... Se2+ mat. Na 17. H:c3 nastąpiłoby 17... G:d4 itd.

17... Sc3-b5! 18. Ga3-b2

Gf8:d4 19. e4-e5 Gd4:b2 i czarne wygrały figurę, a następnie partię.

ZADANIE POZAKONKURSOWE

A. Niemcow

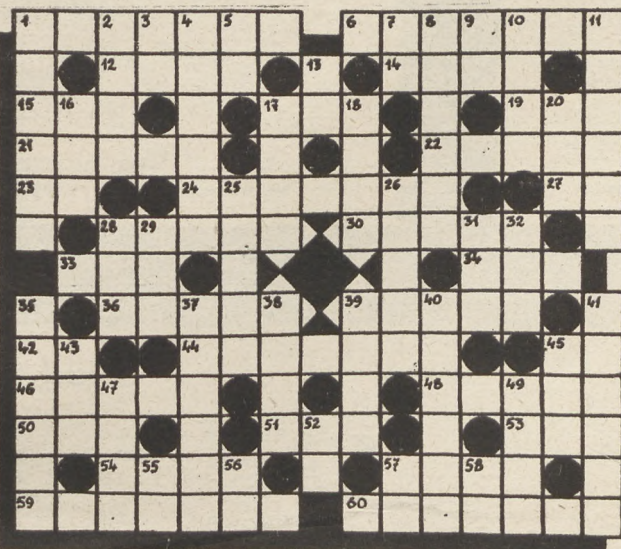


Mat w 4 posunięciach

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1) Rodzaj gry w karty, 6) W mitologii rzymskiej: jedna z trzech bogiń, które przeda nie życia ludzkiego, 12) Jeden z „Trzech muszkieterów”, 14) Nazwa gwiazdozbioru, 15) Tytuł utworu scenicznego Ostrowskiego, 17) Główna belka wiązania okrętowego, 19) Dopływ Warty, 21) Muza pieśni miłosnej, 22) Dialekt, gwara, 23) Bóg słońca u starożytnych Egipcjan, 24) Kwiat, 27) Nuta, 28) Podziałka mapy, 29) Imię żeńskie, 33) Część twarzy, 34) Głos żeński, 36) Miejsce występów teatralnych, 39) Figury geometryczne, 42) „Nie” w jęz. obcym, 44) Ruchome zwierzenie, 45) „Złoto” w jęz. obcym, 46) Fizyk francuski, 48) Miasto w Azji Mniejszej, 50) Przysówek, 51) Mały koń, 53) Łódź dwuwiosłowa, 54) Napój z syropem, 57) Łódź okrętowa, 52) Bieg długodystansowy, 60) Największe jezioro węgierskie.



Pionowo: 1) Taniec hiszpański, 2) Miejsce wpiat lub wypiat, 3) Inicjały myśliciela polskiego (1799-1878), 4) Praca, zajęcie, 5) Tuz, 7) Inicjały dyktatora powstania styczniowego, 8) Ilustracja książki, 9) Rzeka w Syberii, 10) Tytuł kobiecy, 11) Kapitan indyjski, 13) Litera grecka używana w matematyce, 16) Gatunek papugi, 17) Półwysp między Morzem Białym i Oceanem Lodowatym, 18) Drzewo liściaste, 20) W mitologii greckiej: bóg wiatru, 25) Tytuł powieści Krasińskiego, 26) Roślina egzotyczna, 28) Inicjały koła sportowego młodzieży, 29) Derka, 31) Pierwiastek chemiczny, 32) Spójnik, 35) Uczony zajmujący się nauką o budowie ciał organicznych, 37) Narzędzie na mundurze wojskowym, 38) Napój wysokowy, 39) Piód roślinny, 40) Imię męskie, 41) Autor powieści „Piękne dziewczynki”, 43) Historyczny okres czasu, 45) Zamek osobowy, 47) Rzeka na pograniczu Syberii i Mandżurii, 49) Kamień ozdobny, 52) Domek pszczoły, 55) Nuta, 57) Inicjały wybitnego współczesnego aktora sceny polskiej, 56) Rzeka we Włoszech, 58) Zamek osobowy.

(R. Sikora — Rudnik)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym

od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

FILATELISTYKA



NOWY ZNACZEK RADZIECKI

Ostatnio w Związku Radzieckim ukazał się nowy znaczek pocztowy, na którym pokazano medal laureata „Międzynarodowej Nagrody Stalinskowej za utrwalenie pokoju między narodami”.

Znaczek wartości 40 kop. wykonany jest techniką rotogravlurą, w kolorze czerwono-fioletowym, złotym i niebieskim, w formacie 26 x 42 mm.

Z. R.

Czy wiecie, że w tej chwili w sklepach tekstylnych MHD w dużych ilościach znajduje się „flausz”? Podajemy tę wiadomość z satysfakcją i mamy nadzieję, że już teraz stałe odpowiednie artykuły w odpowiednich porach roku będą do nabycia w sklepach uspołecznionych.

Na razie flausz jest tylko w kolorze brązowym i granatowym, ale nie wątpimy, że w najbliższym czasie będzie można nabyć również szary i beżowy.

„Flausz” jest tkaniną, z której na okres jesienno-zimowy szyjemy kurtki, „wdzianka”, jesienki, kamizelki itp. Przy tym „flausz” ma dwie ogromne zalety: jest tani i świetnie się nosi.

W dzisiejszym odcinku naszego działu pokazujemy modele jesienne:

1. Płaszcz z beżowej wełny (albo „flauszu”), reglanowy, z rękawem zwężającym się przy dłoniach i małym, prostym kołnierzem. Płaszcz nosimy na brązową suknię w żółto-zieloną kratę. Beret, torebka, pantofelki w kolorze czarnym albo brązowym.

2. Płaszcz z szarej wełny (albo „flauszu”), reglan, szerokie rękawy z dużym mankietem, mały stojący kołnierzyk, zaplecie widoczne. Czarny beret i rękawiczki, torebka jasno-szara.

3. Żakiet wełniany — dziany, czapeczka włóczkowa robiona na drutach, spódnica z samodzielnym kraciastego (znajduje się w dużym wyborze w sklepach CPLiA) — oto świetny komplet pod płaszcz nieprzemakalny.



TANIO i ŁADNIE

DALEKIE WYCIECZKI NIE SĄ UCIĄŻLIWE...



CAF

jeżeli dbamy o nasze nogi. Podczas forsownych marszów, przy górskich wspinaczkach, w okresie upałów jakże często pociąga się nogi, a skóra ulega odparzeniom. Moczenie nóg wieczorem w wodzie z dodatkiem soli do nóg „EWA” usuwa zmęczenie i łagodzi odparzenia, a puder przeciw potowi „HALINA” zapobiega wydzielaniu potu i usuwa jego nieprzyjemny zapach.



Coż to były za śmieszne czasy, gdy wspominać je z dzisiejszego oddalenia! Co drugi młody człowiek musiał być obowiązkowo — radioamatorem. Włec kupował najpierw pismo „Radioamator”, a potem swoje drutu, wtyczki, cewki, prostowniki, wyłączniki, gniazda, izolatory, galwanometry, kwasy siarkowe, tudzież odpowiednią ilość śrubokrętów, dłutek, młotków, szczyplę, no i zabierał się do roboty.

Przed zbudowaniem kondensatora dobrze było, gwoździły, owinać drutem np. młodszego brata i zbadać, czy reaguje na prądy zmienne. Akumulatory mieściły się znakomicie w słoikach przygotowanych przez mamę na konfitury, więc mama była wrogiem radia. Niemniej zbliżał się dzień, gdy poszczególne części były już w komplecie i teraz radioamator zbijał ogromną skrzynię, w której łatwo dałoby się hodować ze dwa prosiaki. W skrzyni należało wywiercić różne dziury, umieścić wewnątrz części aparatu i drutu, zacząć rodzinę siadała wokół, ze słuchawkami na uszach. — Wszystko zainstalowane było w radioaparacie zgodnie z przepisami „Radioamatora”, tylko... radio nie grało.

Alści zdarzało się czasami, że po przepaleniu kilkudziesięciu lamp, porażeniu prądem kilkudziesięciu osób i po paru lokalnych pożarach — konstruktor aparatu łapał jednak jakąś stację. Rodzina składała dlonie w nabożnym skupieniu, bo oto z głębi słuchawek, jak gdyby były maleńkimi studniami, dobiegał czyjś śpiew.

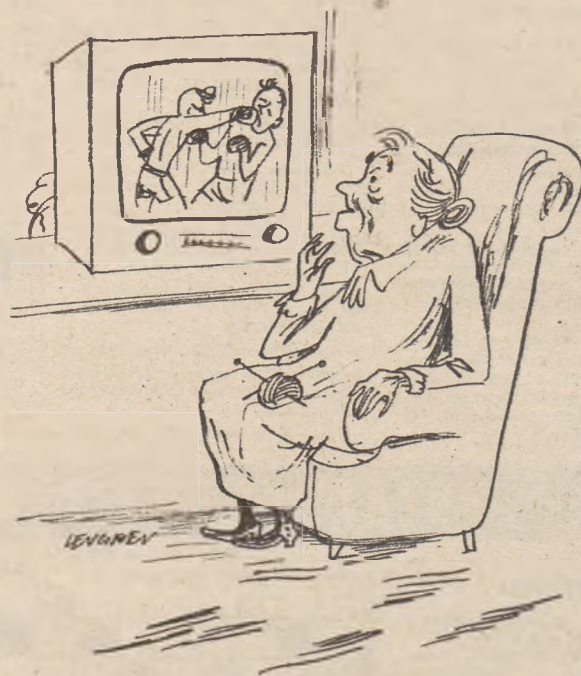
To śpiewała Wanda Wermińska. Lecz wkrótce aparat przestawał się samoczynnie na inną stację, skąd dobiegał śpiew Szaliapina. W nagłej zmianie ciężko się było połapać, więc słuchacze byli tylko zdziwieni: „Jak ta Wermińska grubo wychodzi przez mikrofon!”. Potem inny głos zapowiadał radio — Paryż i zaraz nastawa-

ła głucha cisza, którą rodzina też chciała sobie życzliwie wy tłumaczyć: „Widać jest transmisja z grobu Napoleona, a trudno, żeby ludzie w takim miejscu gadali...”. — Pierwszy speaker Polskiego Radia, dziś spowity w zasłogi i siwą brodę Tadeusz Bocheński, podówczas debiutował. Nawet dokładny czas podawał głosem brzmiącym jak dzwon Zygmunta, więc też — według statystyk — kochało się w nim 97,3% radiosłuchaczy z całego kraju. „Przy fortepianie Jerzy Lefeld” — tak miał zapowiadać udział w audycji znakomitego akompaniatora. Lecz któregoś dnia Bocheński stremował się i powiedział: „Przy fortepianie leży Lefeld”.

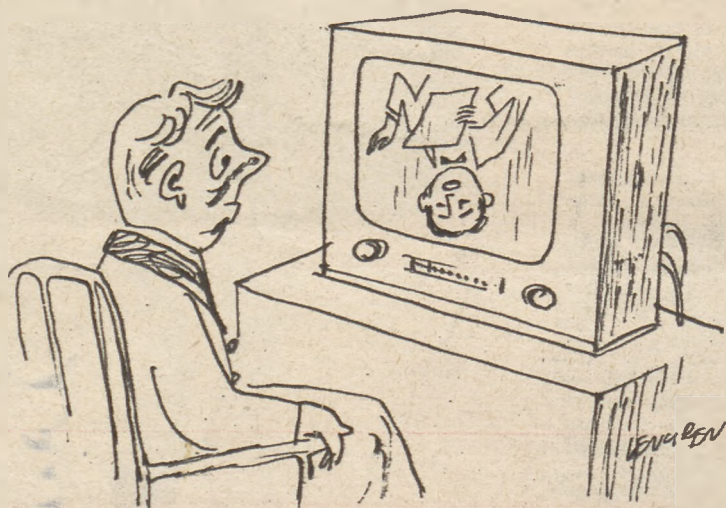
Lata miały i oto słuchawki ustąpiły miejsca głośnikom. Z podstawek jęły piąć się konwulsyjnie w górę czarne, węzowe rury z rozdzielonymi paszczami. Dobywały się z nich trzaski, zgrzyty, piski, wycia, bulgotanie, straszliwy ryk i głos: „Nadaliśmy „Marzenie” Schumann’a”. Ludzie znani ze spokoju i taktu zrywali brutalnie stosunki z radioamatorami, z powodu głośników rozwodziły się najprzekładniejsze małżeństwa, były wypadki samobójstw i obłędu.

Dzisiaj bez radia nie możemy wyobrazić sobie życia. Udoskonalony radioaparat stał się naszym serdecznym przyjacielem, radio informuje nas, uczy, bawi. Jeżeli wspominam czasy jego zaborowania to po to, abyśmy uprzytomnili sobie, że nie byliśmy przygotowani nerwowo do przyjęcia wspaniałego wynalazku. Stwierdzenie owo jest tym ważniejsze, iż stoimy w przededniu upowszechnienia w Polsce telewizji.

Przyjrzyjcie się zamieszczonym obok rysunkom Lengrena, żebyście z góry wiedzieli, co Was może niedługo oczekiwać. — Po cóż za kilkanaście lat mamy znów śmiać się ze wspomnień o samych sobie?... J. W.-fl.



— „W „Radio i Świat” czytałam przecież wyraźnie, że będzie pokaz robótek ręcznych!...



— Transmitujemy audycję telewizyjną z drugiej półkuli.



— Niezmiernie nam przykro, ale nie będziemy już mogli skorzystać z pani usług jako wróbelka w telewizyjnych programach dziecięcych.



Kącik porad lekarskich.



Ile razy prosiłem żebyś mi w czasie obiadu nie nastawiała pogadanek o pielęgnacji niemowląt!...